

Czytelnikom
i
sympatykom
naszego
pisma



Fot. Biliński

Najlepsze
życzenia
nowo-
roczne

składa

Redakcja

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok IV. Łódź, 8-I.
1961 r.
Nr 1 (149)
Cena 1 zł



„...Nauczyliśmy się widzieć związki między człowiekiem a rzeczą, rzeczą a zwierzęciem, zwierzęciem a ziemią. Maszyny. Nigdy tyle nie myśleliśmy o maszynach co dzisiaj. Produkcja, technologia, towar nie mówiło się o takich sprawach. Dziś Rocznik Statystyczny staje się tematem rozmyślań przed zaśnięciem... — ten wyjątek z jednego z „Listów do pani Z.” — K. Brandysa, pasuje „jak uł” do atmosfery obecnych dni.

Dla większości czynnego i myślącego społeczeństwa jest ona bowiem przesycona techniką. Technika ante portas, technika stoi przed wrotami naszego kraju, naszego miasta i naszego domostwa.

MODUS VIVENDI

W połowie lutego we Wrocławiu odbędzie się IV Kongres Techników Polskich, którego temat i cel to opracowanie najbardziej skutecznych metod i środków realizacji planów rozwoju gospodarczego kraju, a także dokonanie oceny stanu techniki i określenie postawy i roli technika wobec konieczności jej rozwoju. Od kilkunastu tygodni w środowiskach technicznych całego kraju trwają poszukiwania gospodarczego modus vivendi na najbliższe lata. Połączna machina złożona z ludzkiej myśli i inicjatywy pracuje jak mityczne perpetuum mobile, nieustannie rozwiązuje wciąż nowe bardziej skomplikowane problemy.

PRZYSZŁOŚĆ JEJ WIDZA OGROMNA

Jak łódzcy technicy widzą nasze miasto i co mu prorokują? Od dłuższego już czasu kształtuje się to „techniczne spojrzenie na Łódź” w trybie przedkongresowych

dyskusji, obliczeń i wyliczeń.

Zapoznałam się z nim — nie bez trudu — i muszę powiedzieć, że to spojrzenie przypomina mi — światowida — bo uwzględnia wszystkie strony miasta, jasnowidza — bo przewiduje co będzie za lat pięć, dziesięć i „naście”, bazyliżka — bo goni, jakby chciało zabić błędy i potknięcia w miejskiej gospodarce i przemyśle, zakochanego — gdyż wszystko to dostrzega dla dobra ukochanej.

Wyobrażenia o przyszłości są zawsze pasjonujące. Wyobrażenia techników o Łodzi są tym bardziej pasjonujące, że „przyszłość jej widzą ogromną”.

„Łódź stanie się nowoczesnym przemysłowym ośrodkiem miejskim, spełniającym jednocześnie rolę poważnego centrum życia kulturalnego, naukowego i oświatowego. W ciągu najbliższych 20 lat, do roku 1980 spodziewany jest wzrost ludności Łodzi do ok. 800 tys. osób, a więc o

niespełna 100 tys. w porównaniu ze stanem obecnym. Rozwój miasta pod względem ilości mieszkańców nie będzie więc szczególnie wielki. Olbrzymie natomiast zmiany nastąpią pod względem urbanistycznym, komunikacyjnym i struktury przemysłu.

Aby ta wizja miasta przyobiekla realne kształty — trzeba działać, uważając technicy. W ich „spojrzeniu na Łódź” zawiera się więc opis tego działania, wskazanie kierunków w jakim powinno ono iść.

W PRZEMYSLE ŁÓDZKIM

W ciągu najbliższych lat jest do przeprowadzenia nie tylko modernizacja ale i zmiana struktury. Nie zmieniając swego znaczenia jako ośrodka przemysłu włókienniczego, Łódź stanie się siedzibą innych gałęzi wytwórczości, przede wszystkim przemysłu metalowo-elektrycznego, chemicznego, papierniczego itp. Poprawi to jednostronną obecnie strukturę przemysłu, pozwoli na zrównoważenie zatrudnienia mężczyzn i kobiet, (przem. elektryczny o dużej precyzji wykonania, szczególnie nadaje się do zatrudnienia w nim kobiet), spowoduje wzrost średniej płacy.

WE WŁÓKIENICTWIE

— (przypada nań obecnie 75 proc. ogólnego stanu zatrudnienia miasta) kierunek

(Dalszy ciąg na str. 8)

JAN SZTAUDYNGER

MOJE

W okresie od Bożego Narodzenia do Trzech Króli należy do dobrego tonu pisać o szopce. Mogłoby na to pisanie dać przepis: „Weź pamiętnik ks. Kitowicza, odpisz odnośny ustęp, zacytuj ze dwie kolędy, jedną na początek, drugą na koniec. Dodaj gram ubolewania, że to „szopki tak nisko upadły” i artykuł gotów.

Ja jednak odstąpię od szablonu, nie będę niczego odpisywał z Kitowicza, nie będę ubolewał nad zanikiem szopki, nie będę cytował kolęd, natomiast zacytuję pewnego autora i pozwolę mu się w tym względzie swobodnie wypowiedzieć:

Autorem tym będzie Wacław Szymanowski, słynny redaktor „Kuriera Warszawskiego”, jego filar główny i chluba szeroko rozgłaszana. Otóż miły ten panek miał dwie pasje, po pierwsze, lubował się w przylepnym i bezceremonialnym plagiowaniu całych powieści E.T.A. Hoffmanna (jak na przykład odpisywał zuchwale i własnym nazwiskiem podsygnował „Historię dziadka do orzechów”, zmiętnięszy tylko tytuł i nazwę głównego bohatera), po drugie kochał się w szopce.

Sam skleił szopkę, o której nikt dziś nie pamięta, a poza tym w „Bluszczu” (nr 2, Warszawa rok 1870/1 z dnia 10 grudnia) wystąpił z artykułem o szopce, w którym pełno szczegółów pierwszorzędnych.

W artykule swoim zestawia Szymanowski właściwie dwie szopki, jedną w danej chwili aktualną i drugą, która jest szopką jego dzieciństwa.

Cóż było w szopce dzieciństwa Szymanowskiego?

„A teraz se zaśpiewajmy z grecka:

Kiedym ja był na straży naszego Jontecka,

Wtenczas dobrze gorzalinę z kieliszków wytrząsał,

Pomaściwszy, pokapściszy za pannami latał.

— Cego ty mnie bijesz?

— Cegoś źle tańcował?

— Gwałtu, warta, ratujcie”.

A zatem był tekst od znanych nam zgola różny, jeśli tak rzecz można, wielkowiejski, bo to i pretensje do uczoności (owo zaśpiewanie z grecka), grzech pychy andrusowskiej i grzechy pljaństwa (wytrząsanie gorzalin z kieliszków), i obżarstwa (o onym maszczeniu) i nawet łatania za pannami. Wreszcie bijatyka zaaranżowana na scenie. No, nieźle, jak na tekst szopkowy. „bogobojny”. Brakuje tylko złamania postu a mielibyśmy grzechy w komplecie.

Poza tym melduje nam Szymanowski, iż była w szopce warszawskiej jego dzieciństwa scena z He-

(Dokończenie na str. 11)



herodowego
sumienia

Człowiek
strzela
Pan
Bóg
kule
nosi...

Czytaj
na str. 3



Fot. W. Biliński

Słyszeliście ostatnią wiadomość? Rosjanie obsadzili Kube, sytuacja nad wyraz niebezpieczna, w każdej chwili grozi wybuchem, powiada narrator przy sylwestrowym stole. Po sekundzie umownego milczenia dodaje: obsadzili kukurydzą. Reakcję współbiedniaków można przewidzieć, trzęsą się od śmiechu brody i brzuchy, wznoszą się nowe toasty, kto je wyliczy i zapisze. Nie jest to ani lepszy ani gorszy dowcip z serii „politycznych”, w których wykorzystuje się synonimy i kalambury, powtarzam go teraz, gdyż wydaje mi się bardzo ciekawy i charakterystyczny dla zmian, jakie zachodzą na szerokim świecie i u nas, dalej i bliżej, w naszej wsi i w naszym mieście. Ci spośród nas, którzy pamiętają pierwszą wojnę światową i drugą, którzy wiele spraw zamkniętych teraz w szkolnych podręcznikach poznali bezpośrednio, którzy znają „przemijanie świata”, mają bardziej wystrzoną wrażliwość na tego



rodzaju opinii, wyrażone nawet w żarcie.

Przy wszystkich biesiadnych sylwestrowych stołach, które uginały się pod ciężarem ryb, mięs i różnego rodzaju napojów grupy wodorotlenowej, wymienionych z nazwy i imienia w ostatnim numerze przez W. Jażdżyńskiego, żytniówkę, cytry-

rzy jak przystało rozpoczynają swoje oracje słowami „uroczystymi, zarazem... uroczystymi”, reagując na każde hasło. Są wreszcie ludzie prości, i tych jest większość, nazywający rzeczy po imieniu, „dobrze” znaczy w ich języku „dobrze”, „złe” to „złe”. Oni to najczęściej są autorami najlepszych żartów. Zaskakujące finały ich przypowieści, dowcipów nie dezawuuja ukrytej w nich filozofii człowieka, który zna życie, ciekawa metafora oddaje klimat, w którym żyją.

ALLACH nie potrafił tego zrobić

nówek, jarzębinówek zasiedli przedstawiciele wszystkich odłamów i galezi naszego społeczeństwa. Każdy niemal stół miał swoich „mleczków”, którzy przez pół nocy nie odrywają się ani słowem do swojej siostry. Nie jest to najgorszy gatunek biesiadników, przynajmniej umieją słuchać, gdy ktoś mówi: są i tacy, którzy znajdują przyjemność wyłącznie w jedzeniu i pić, tak zwani brzuchacze, „na ogół nieszkodliwi” są deklamatorzy (przy każdym stole jest taki rodzinny, etatowy zagajacz) skłonni do natychmiastowych wzruszeń, któ-

Bohater naszego sylwestrowego stołu, autor anegdoty o kukurydzy, ma syna, który ukończył wyższą szkołę handlową, a obecnie studiuje dziennikarstwo. Ojciec marzy o tym, żeby syn zdobył dwa fakultety, jeśli się uda, to i więcej, „nadmierz wiedzę nie zaszkodzi”, „syn ma zaledwie dwadzieścia jeden lat, studiuje pilnie, dlaczego mu zabraniać?” Nie jest to sytuacja typowa, powiecie, nie wszyscy przecież „złębiają fakultety praw, medycyny”, słusznie, ale zasługuje na podkreślenie, wyraża ona kierunek przemian, który zachod-

dzą w naszym kraju i w naszym mieście, na jej przykładzie można uczynić próbę podjęcia przynajmniej niektórych zagadnień z serii sylwestrowo rocznicowych.

Ciekawa metafora, kukurydza, pod którą można podkładać wiele treści, trafnie oddaje atmosferę naszego ostatniego sylwestra. Nie ma sposobu, aby doświadczalnie przekonać się, o czym rozmawiano tej nocy, która nie była nocą, która była przez parę godzin „zwierciadłem czasu bieżącego”: gdyby odwrócić wszystkie rozmowy, które toczono, z pewnością pokazałyby one wszystko, co nas boli i co cieszy. Dopiero na tle tych rozmów, w tym „zwierciadle” nabierają rumieńców wszystkie życzenia,

wil na przykład o ciekawym projekcie deszczowni, dzięki której można by się uniezależnić od pogody. Specjalny agregat czerpiący wodę z Wisły czy Pilicy mógłby w stosownej chwili zraszać dwudziestohektarowe pola, „nie potrzeba by się wtedy liczyć z żadnym świętym Michałem, chłopci puszczają wodę, kiedy chcą”. Nihil novi, powiedzą ponuracy, ale jakkolwiek bądź nie oceniałoby się tego rodzaju tendencji czy zamierzenia, nie sposób zaprzeczyć, że wszystko, co służy do poprawienia życia szaremu człowiekowi, co czyni jego życie znośniejszym i nadaje mu większą wartość, gwałtowniej, intensywniej rozwija się dopiero dzisiaj.

Allach nie potrafił tego zrobić co zrobił komunizm, powiada na Wschodzie.

Nasze miasto zaczyna w bieżącym 1961 roku nowy okres pięcioletniego planu. Tow. Michałina Tatarkówna Majkowska, składając życzenia mówi o likwidacji powołańskich bolączek, o zaufaniu ludzian do partii, Edward Kaźmierczak o 500 tysiącach nowych izb mieszkalnych, w najbliższym dwudziestolecu, które zacznie się budować w tym roku, tow.



Stefan Jedryszczak o planach produkcyjnych w województwie. Każdego roku pojawiają się na czołowej stronie gazet redakcyjne życzenia noworoczne — wciąż te same, podobne, niemal sloganowe, serdeczne życzenia, najlepsze życzenia, z każdym rokiem nabierają jednak bogatszej treści. Życząc dużego wzrostu we wszystkich kontynentach przysłowiowej już, pokojowej kukurydzy radzieckiej, życząc naszej ojczyźnie wydobywającej już sto milionów ton węgla rocznie, eksportującej na wszystkie strony świata maszyny, urządzenia, statki, obiekty przemysłowe, naszej ojczyźnie — „krajowi ludzi uczących się”.



a więc i naszemu miastu — dalszego rozwoju — czegoż innego mamy sobie życzyć, ludzie z fabryki i urzędu, ze szkoły, ze wsi, którzy razem tworzymy tę ojczyznę?

TADEUSZ PAPIER

WINCENTY KOTERBSKI

Kłonica i prawo

Tomasz Kaczmarek ma 6-morgowe gospodarstwo we wsi Szczesie, w pow. sieradzkim, żonę i 15-letnią córkę. W swoim charakterze ma także coś więcej; ową zawziętość aż do fanatyzmu, zbyt łatwą pobudliwość i brak opanowania — zwłaszcza gdy ktoś osmleli się kwestionować jego stan posiadania.

Ze zmurszałych od starości akt sądowych z 1939 r. wynika, że już wtedy w sporze o ziemię dźgał szwagra nożem. W latach powojennych wieś Szczesie stała się widownią nowych wyczynów Kaczmarka. Sam chociaż nie biedny począł napastować swoich powinowatych Helenę Klubę i Zofię Gwiazdę, którym sąd powiatowy w Sieradzu przyznał prawo do użytkowania 0,81 ha ziemi i o ten kawałek uszczuplił „latyfundium” Kaczmarka. Tym wyrokiem sądu Kaczmarek poczuł się skrzywdzony. Siarczyście więc splunął na prawo i zaczął najsmiertelniej usiłować granicę szlaku betonową i szpadem niszczyć granicę. Kara — miesiąc aresztu. Kaczmarekowa z córką też nie próżnowały. Napadły Zofię Gwiazdę na pastwisko i zbiły ją batem i kijem. Na przemian kara dla Kaczmarkowej — też miesiąc aresztu.

I tak dookoła Wojtek, ilekroć tylko Kaczmarek karę odbył, wracał do swojej wsi, niszczył znaki graniczne i w najlepsze niezręcznie okupował sporną działkę ziemi. Poszkodowane Kluba i Gwiazda znowu udawały się w poszukiwaniu sprawiedliwości, znajdując ją u komornika lub w sądzie i w rezultacie na Kaczmarków spadały — nowe porcje kar. Szczesie — hektarowe gospodar-

stwo znacznie podupadło i niepodobna temu się dziwić skoro zdrowy rozsądek i logika przysłoniło bielmo chciwości i fanatyzmu. „Ja jestem niewinny — co mnie ukarali. To oni (Kluba i Gwiazda) zrobili nas bandytami” — pisał Kaczmarek w liście z więzienia do Rady Państwa. Kaczmarekowa w liście do sądu powiatowego w Sieradzu sekundowała: „Chcę nas oboje wsadzić do więzienia, ziemię oddać Klubie i Gwiazdzie, a dom żeby zostawić pod Opactwem Boską”. Dzisiaj Kaczmarekowie są na wolności, ale raz urażona ambicja i opieszałe pojety honor chłopcy nie szybko znajdą spokojne łożysko.

W sądzie, przyjął się zwycięzca, iż podobnych spraw prawie nigdy nie uznaje się za całkowicie skończoną. Wulkany nieraz dymią dziesiątki lat i od czasu do czasu wybuchają. Czy można zapobiec tym wybuchom? I oto powstaje pytanie: czy można sankcjonować niesprawiedliwość, darując Kaczmarkom gwoździ spokoju 0,81 ha ziemi? Nie można.

Wprawdzie można, ba nawet znaleźć się korzystanie z arbitrow i mediatorów — i ta niewdzięczna rola przypada często na chybły — trafili, przedstawicielom prezydentów gromadzkich rad narodowych, sędziom, sąsiadom, gdy jednak misja ich kończy się fiaskiem trzeba karać gwałcicieli porządku społecznego i międzysąsiedzkiego.

Korzenie sporów sąsiedzkich i rodzinnych o miódzie sięgają nieraz znacznie głębiej i ujawniają pewne cechy charakterystyczne w życiu naszej wsi. Warto się nad nimi zastanowić.

Katarzyna Królikowska z

Widawy doszła do przekonania, że otrzymała w spadku po ojcu morgę ziemi za mało. Upięknęło sporo wody w Wąckie zanim Sąd Powiatowy w Łasku uznał roszczenie Królikowskiej za słuszne i przydzielił jej mor-

gę i 163 prety ziemi. Jeszcze dłuższą historię ma sprawa sporna o osadę młynarską w Piorunowie. Zaczęła się 6 lat temu, kiedy to Anna Witczak razem z matką i siostrą „podały do sądu” swoich braci za to, że użytkowali bez ich zgody stawy rybne i 20 morgów ziemi. Bracia nie pozostali dłużni i oskarżyli matkę i siostry o samowolne uruchomienie młyna. Nie raz dochodziło do awantur i rękoczynów. Dopiero po śmierci matki apór nieco przycichł. Sądowi Powiatowemu w Łasku udało się rozdzielić osadę między siostry i braci. Aż dziw nie jest, że człowiek ogarnia, do jakiego stopnia ludziska są małostkowi i nieustępliwi. W kwestjach zdawałoby się dość blahych.

Dwa lata temu wiosną nad wsią Kociny przeszła burza — piorun walał w polną gruszę, która rosła na niezłej między i rozszedł na dwie części: jedna część gruszy spadła na pole Wojciecha Chojackiego, druga — na pole Rozalii Pawlak.

Przy podziale gruszek doszło do potłójki i bijatyki, i u Pawlakowej lekarz pogotowia stwierdził oznaki pobicia. Końcowe rozdziały nastąpiły w sądzie. Prokurator powiatowy postawił Wojciecha Chojackiego gospodarza na około 10 ha ziemi w stan oskarżenia, gdyż „wszedł z butami na leżącą na ziemi Rozalię Pawlak i trącił ją po klatce piersiowej i brzuchu”. W pobiciu 55-letniej Pawlakowej czynnie „asystował” młodsz syn Chojackiego, Wiesław, który chwycił ją za włosy i obalił na ziemię. Sąd Powiatowy w Łasku skazał Wojciecha Chojackiego na 4 miesiące aresztu, zawieszając wymiar kary na dwa la-

ta, a nieletniego Wiesława oddał pod dozór kuratora. Naturalnie sędzię się odwołania do sądu wojewódzkiego. Sąd wojewódzki dopatrzył się sprzeczności między sentencją wyroku a uzasadnieniem i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania sądowi powiatowemu, w zmienionym składzie. Tyle więc kłopotu sądowi i nieszczęścia ludziom wyrządziła polna grusza — „dziczka” której zrzadzeniem natury wypadło rosnąć spokojnie na pogranicznej między i z hałasem zejść z tego padolu.

Sprawy rodzinne i sąsiedzkie o miódzie, pięć ziemi, stodołę czy w ogóle o tzw. majątek ruchomy i nieruchomy często są wynikiem wadliwie sporządzonego, niezgodnego z wymogami życia zapisu testamentowego, ludzkiej zachłanności i pieniaczki, silnego rozdrobienia i przywłaszczania do kawałka dziedziczonej ziemi na terenach polskiej centralnej, często także wypływają z nie dość precyzyjnych przepisów administracyjnych. O skutkach tych sporów mówią nie tylko fakty opisane, mówią o nich także sądowe kroniki kryminalne, które co roku notują kilkanaście przypadków morderstwa lub ciężkiego uszkodzenia ciała, gdy w czasie sporów strony nie czekając na orzeczenie sądu lub zakładając swoje veto przeciwko orzeczeniu mają się bardziej konkretnych — ich zdaniem — argumentów w postaci kłonicy i orczyka. W sądzie sprawa z cywilnej przekształca się w karną, jakkolwiek w większości przypadków w sprawach o miódzie cechy karne przeplatają się stale z cechami „cywilnymi”.

Biorąc rzecz na zdrowy rozum, praworządność wypiera kłonicę i orczyk ze wsi i na pewno dzieje się to z pożytkiem dla społeczeństwa, w obronie poszkodowanych. Jest świętym obowiązkiem prawa stawać w obronie ludu społecznego. Prawo powinno także zapobiegać prewencyjnie powstawaniu sporów o miódzie. Rzeczywistość nie przedstawia się tu najlepiej. Obowiązujące przepisy administracyjne nie regulują dostatecznie spłaty spadków i realizacji zapisów testamentowych, dlatego

m. in. na wsi występuje tzw. problem „dożywniaków”, ludzi starych, niedołężnych, którzy za życia zapisali cały swój majątek rodzeństwu w zamian za obowiązek alimentowania. Gdy ten obowiązek zostaje niedopełniony — pozostaje jedyna droga ratunku: sąd.

Przepisy administracyjne mówią, że sąd orzekając o podziale majątku powinien zasięgnąć opinii wydziału rolnictwa, przydzielić rady narodowej, czy aby podział nie spowoduje upadku gospodarstwa. Opinie wydz. rolnictwa rad narodowych najczęściej są pisane na „nie” i usiłują przeciwdziałać rozdrobieniu gospodarstwa, sąd jednak orzeka obiektywnie według litery prawa i własnego sumienia. Na miejscu sporu zjeżdżają geometra, komornik, nieraz są w pełnym składzie, tam też bada, wnioskując i stara się załatwić spór polubownie, a gdy to nie przynosi wyników, orzeka o podziale majątku. Wykonawcą jest komornik, który często musi się uciekać do pomocy M. C. On też powinien strzec spłaty spadków przynależnych sądownie. Jak na jednego człowieka — stanowczo za wiele obowiązków.

Wydało mi się, że stoimy znowu przed koniecznością „doszlifowania” przepisów administracyjnych i prawnych jak i przed koniecznością powołania gromadzkiej lub powiatowej komisji rozjemczej na wzór tych, które istnieją przy związkach zawodowych i na ogół dobrze spełniają swoje zadania. Jestem świadom, że mamy i tak w bród wszelkich komisji i ciał społecznych, ale powołanie komisji tego typu godne jest przemyślenia z kilku względów: ułatwiłoby one sądowi osiągnięcie rozejmu, a w przypadku orzeczenia podziału majątku, mogłoby pomóc komornikowi w pełnieniu jego trudnych obowiązków. W każdym razie trzeba usilnie szukać nowych dróg — w płaszczyźnie administracyjnej i ekonomicznej — które by były w mocy położyć kres bądź ograniczyć liczbę krwawych sporów o miódzie, jęczących stosunki społeczne i sąsiedzkie na wsi.



Taka jest
młodzież

„Stare tablice wartości tarzają się w błocie, a nowych jeszcze nie ma. Młode dziewczęta nie wiedzą, dlaczego mają się oszczędzać, nikt im tego nie mówi, nie ma żadnej presji w tym kierunku. Ostatnią presją był strach, ale w naszym kraju nie ma już strachu na szczęście! Jedyną rzeczą, którą można by ostatecznie zastąpić moralnością, to lojalność, ale lojalności także nie ma wokoło, trzeba jej szukać ze świecą! Te kurki nie mają nawet pojęcia, co robia, nie wiedzą, że to krew, że wszystko, co robia, ma wagę życia i śmierci. Łatwość kobiet zmieniać świat w pustynię. W każdej chwili człowiek może spodziewać się tego, iż będzie musiał zacząć od zera. Łatwość miała uszczęśliwić wszystkich, a oto wlecie za sobą bezdenną rozpacz. Właśnie łatwość jak nie innego, pokazała nam, że jedynie prawdziwe ułatwienie życia stanowią ograniczenia, ograniczenia, ograniczenia!”

Tak brzmi wydrukowany komentarz Adolfa Rudnickiego w ostatnim numerze „Świata” (w „Niebieskich kartkach”) komentarz Adolfa Rudnickiego do słynnego już — a ostatnio zrekonstruowanego w programie telewizyjnym

(Dalszy ciąg na str. 7)

Jest ich kilkanaście. Rozrzucone po całej Łodzi, skupiają wokół siebie grupki stałych bywalców. Każda chłoba dzielnic ma swoją ulubioną, Górniak przy placu Niepodległości, Śródmieście aż cztery z reprezentacyjnym Kuchciakiem na czele. Pole się — tę przy Obrońców Stalingradu. Strzelnica strzelniczy nie równa. Co innego duży, przytulny lokal z masą dobrych wiatrówek, co innego obskurna, brudna buda z paroma wiatrówkami, pamiętajacymi jeszcze czasy Nerona.

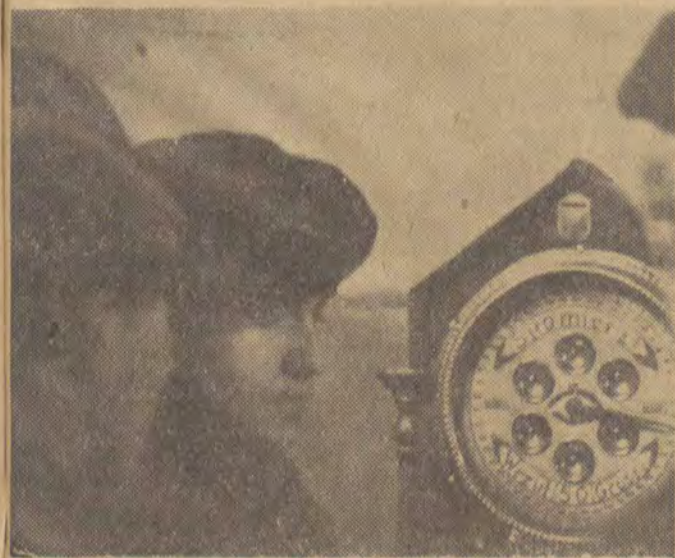
Każda ze strzelnic to prawdziwy odpustowy kramnik. Ściany ozdobione przez ważne podejrzanymi malowidłami, wykonanymi przez Wujka Partaczunia. Są więc bohaterzy młodzieńcy, ratujący swe bogdanki celnym strzałem, są dzielni myśliwi, walczący przeciwko hordzie wilków czy dzików. Trafia się i Staś Tarkowski, uśmiechający się i malunki tworzą nastroj.

Kiedy weźmiesz karabinek w dłoń zaraz czujesz, że rażenie zaczyna w żyłach kraść krew godną bohaterów niesamowitych obrazków. Nastroj tedy jest. Trzeba go tylko jeszcze podbudować. Służą do tego mobilizujące hasła: „Ćwicz oko i dłoń w ojczyzny obronie” itp. Zaczyskasz palce na spuście i celujesz. W co? Masz przed sobą prerię, puszcze, dżunglę, słowem wszystko, czego tylko możesz zapragnąć. Wałęsają się po niej lwy i tygrysy o figurze okaleczonych kotów. Czasem wśród nich wyrasta tajemnicza armata, za przewracającym się strzelcem, celującą wprost w oko olbrzymiej tancerki z bebnem, kto wie zresztą czy to tancerka, gruntu że ma beben, który uroczu huczy. Przeważa jednak rodzima zwierzyna — zajęce, lisy, niedźwiedzie. Wtajemniczeni twierdzą, że w ten właśnie sposób nasi dziadkowie zdobywali myśliwskie trofea.

Nieważne, że zając goni przerażonego lwa, że ku zadowoleniu obecnych dentysta odskakujący od pacjenta z mamucim kłębem w kieszeni, wpada pod nogi pedzacej żyrafy. Ważne jest, że wszystko to żyje, rusza się, dzwoni i bebnę, jeśli tylko strzelisz celnie.

To wszystko nie wyczerpuje jeszcze całego asortymentu strzelnicowych atrakcji, są jeszcze tzw. atrakcje uboczne, których popularność stała się tak wielka, że przerosła swym rozmiarem nawet strzelanie z broni śrutowej. W takich wypadkach nazwa „Strzelnica sportowa” jest już tylko symbolem. Mamy na myśli wszelkiego rodzaju bilardy, siłomierze, mechaniczne wróżki, loteryjki itp.

Można spróbować własnych sił, pociągając za rączkę. Co silniejsi wyciskają ją do dechy — aparat dzwoni, małe poruszenie na sali i domorosły siłacz odchodzi z dumą, szukając godnego



Fot. W. Biliński

przeciwnika. Słabsi poprzestają na mniejszych osiągnięciach, dochodząc do zawodów „krawca” czy „szewca”. (Wycięcie danej liczby predestynuje bowiem do odpowiedniego zawodu — tak głosi napis).

Najwyszukańsza forma lupienia skór z biednego delikwenta jest mechaniczna wróżka. Wrzucasz 50 groszy i dowiadujesz się, że otrzymasz list, albo pojedziesz w daleką drogę.

Billardy cieszą się wielką sympatią, dają pole do popisu zreczności, śledzenie metalowych kółek i stosunkowo większy czas zabawy — to elementy gromadzące przy nich większą liczbę zapaleńców. Tu jest już możliwość urządzania pojedynków niezależnie od siły mięśni, nie decydują bicepsy i porażka nie jest tak kompromitująca w oczach kibiców jak przy siłomierzu.

Szczytem rozrywki jest piłka nożna albo hokej — one faktycznie wymagają pewnego kunsztu i byle patafali się do tego nie weźmie.

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”. Może dlatego właśnie ściany niektórych strzelnic sprawiają wrażenie misternie wykonanego siłka Swego rodzaju majstersztykiem jest pod tym względem sufit w strzelnicy przy ul. Jarcza. Jak powiadała, w pogodny dzień można zobaczyć przez dach gwiazdy. Widocznie, wielkimi literami wymalowane ostrzeżenia typu: „W stanie nietrzeźwym strzelanie milicjinie wzbronione” nie budzą należytego szacunku. O postrzeleniu obsługującego strzelnicę jeszcze dotychczas nie słyszeliśmy, zresztą, kto by się do tego przyznał.

MARCELI KAŹMIERSKI

CZŁOWIEK STRZELA

W okresie narodowych świąt sportowych przed każdą ze strzelnic można spotkać masę rodaków, żywo komentujących słuchana własnie transmisje. A wysłuchać jej można spokojnie, podzielić z najbliższymi swoja rewelacyjna metoda stawiania krzyżyków w TOTO, udzielić fachowych porad. Transmisji nie przerwie gderanie złośliwej małżonki, czy objętej na sport matki.

LUDZIE

Popatrzmy na pierwszego z brzegu. Wszedł przed chwilą, wziął „dziesięć do tarczy”, wystrzelił, kazał obliczyć ilość punktów, wyszedł. Typ najmniej ciekawy — „strzelec pospolity” — tak go nazywają. Przypadkowy przechodzień, któremu zostało piętnaście minut czasu do rozpoczęcia seansu w pobliskim kinie. Wykorzystał go tutaj. Nie obchodzi go efekt

strzelania ani reszta otoczenia. Takich jest najwięcej.

Spójrzmy jednak na tego, który strzelał obok. Skończył już jedną serię, studiując uważnie tarcze, ogląda wyniki sąsiednich strzelców, namyśla się, wymiata „piataką” i zamawia następne „dziesięć do tarczy”. Sasiad z lewej czyni to samo. Prawie równocześnie zaczyna strzelanie. Pierwsze strzały wprost identyczne — dwie dwunastki i jedna jedenastka, przy czwartym strzale pierwszemu się załamuje i wybija dziesiątkę. Sasiad dumnie spogląda na swoją dwunastkę. Zaczyna strzelać bardziej gorączkowo. Pojawia się i dziesiątka. Koniec. Obliczenie. Ten z lewej wygrał sześcioma punktami. Jest zadowolony. — „Może spróbujemy na biało?” — proponuje. Pierwszy zgadza się, obsługujący zakłada tarcze odwrotną stroną. Strzelają teraz do białych kartoników, bez oznaczeń. To jest już trudniejsze. Ten pierwszy tym razem ma szczęście — Wzgrywa. Honorowo proponuje rewanż. Znowu białe kartki. Tak. Oni zostają tu dłużej. Przynajmniej dotąd, dopóki starczy im pieniędzy.

„O le, o Cangaceiro, o le, o fendera!” Hałaśliwie trzasnęły drzwi. Weszli w piątkę. Ich trzech i dwie dziewczyny. Nie mają dziewięćdziesięciu lat. „Mężczyźni” wypróbowali siłomierz, wycisnęli do „murarza” błysnęło kilka lampek, ale do najwyższej stawki brakowało jeszcze sporo. Widać było, że to nie ich dziedzina. Panny zabawiały się wróżeniem. Też nie były z tego zadowolone.

— „No, to co, postrzelamy!”

Jedynie wyjście, by uratować



Fot. W. Biliński

Wino zaczęło już działać, stąd trudności przy wejściu przez dosyć wąskie drzwi. Uporali się z tym, jakoś, rozepchnęli najbliższych i zaczęli strzelanie. Początkowo do tarcz, ale mieli poważne trudności z rozpoznaniem cyfr więc szybko z tego zrezygnowali. Do figur strzelali łatwiej. Henio, wbrew zapowiedziom nie mógł nauczyć łachów strzelania. Trafił rzadko, zadawał się raczej wydawaniem dzikich ostryków i zachęcaniem współpartnerów.

— Przycykaj tej żyrafie, ona mi się nie podoba.

Czkawka rzecz niebez-

rytual: zaczynają od gwoździ! zawieszonych wysoko u pułapu, potem strąca kilka szpilek i po tej zaprawie przystępują do strzelania w tarczę. Dopuszczalnych jest kilka wariantów — na biało, z oznaczeniem, do tarcz mniejszego formatu. Arcymistrzowie strzelają z pistoletu. Skrytym marzeniem jest osiągnięcie doskonałości — wszystkie strzały w dwunastkę (U Kuchciaka wiś kilka takich tarcz na honorowym miejscu). Dla wielu taki sukces pozostaje w sferze marzeń, kolekcjonują więc swoje wyniki, czekają dnia kiedy i ich

O hazardzie dowiedzieliśmy się od zadziwiająco młodego ale bardzo obytego w tych sprawach informato-

Miał może z dziewięć lat. To inna funkcja strzelnicy. Mały hazardzik na boku. Konkursowe strzelanie do tarczy Meczyk na pieniądze. Bardzo często tranżakcje związane — typu trojboj, czyli: Strzelanie-siłomierz-hokej.

Na pierwszy rzut oka nie rozpoznasz ich w tłumie innych. Zachowują się tak samo. Wyniki podliczane są w bramie, wszystko po cichu. Opornych, czy niechętnych do placenia też załatwia się metodą „bezszerową”, poza terenem strzelnicy.

Stawki wahają się różnie — 50 zł — 100 zł, niżej się nie opłaca. Niekiedy przedmiotem zakładów jest inny środek obiegowy — ciwarotka! Te grupy nasz mały informator zna najlepiej, po niej przecież zbiera butelki. Jak jest dobry dzień to nawet na kino uzbiera.

MEDYTACJE

Strzelnice mają swoje dobre i złe strony. Złe dlatego, że skupiają wokół siebie także i nieodpowiedni element, stają się często miejscem polibacyjnych zabaw czy hazardu. Pozwala się korzystać z nich osobom w stanie nietrzeźwym, a to z kolei powoduje, że młodzi widzą niezbyt budujące przykłady.

Dobre dlatego, że można tu spędzić czas kosztem zaledwie kilku złotych. Mimo swego odpustowego i drenazowego charakteru strzelnice są ciekawe i atrakcyjne (przecież każdy strzał to wiadomość), pozwalają na spor

wać nadszarpniętą nieco siłomierzem reputację.

Rehabilitacja trwała dosyć długo. Trzy razy zmieniali tarcze. Ostatni wynik uznali widać za wystarczający, gdyż ostentacyjnie opuścili lokal, obejmując czule swe bogdanki. Kobiety podrażniały rycerskie instynkty. Wpadał błysnąć przed nimi celnym okiem. Ci pewnie wrócić jeszcze, nie razem, w pojedynkę, ażeby utrzyć się w przyszłości przed podobnymi niespodziankami. Może to samo zrobią i ich partnerki? Równouprawnienie. Zjawisko wprowadzić rzadkie, ale jak twierdzą starzy bywalcy: — „Jak przyjdzie

pieczna, widocznie dlatego biedny kolega strzelał przeważnie w sufit a nie we wskazany przez Henia cel. Andrzejek był najmniej cierpliwy:

— Panowie, tylko winko może nas uratować.

— Te strzelby są całkiem do d...!

Obaj przyznali mu rację, odrzucili je z rozkoszą i wyskoczyli w kierunku najbliższej spółdzielni. Wypiją prawdopodobnie jeszcze kilka butelek i pójdą „poszurać”. Możliwe że kogoś pobiją, przecież Henio nie będzie się patyczkował z byle

tarczą znajdzie się pomiędzy najlepszymi.

To ambicja przygania ich tutaj prawie co dzień. Ambicja! Szczególnie gdy za plecami słyszy się drwające śmiechy wyrostków, którzy wystrzelali już swoje złotówki — niewiele ich zresztą mieli — uczeń stworzenie biedne! Co im pozostaje? Sterczą całym godzinami, przyglądają się znanym już na pamięć figurom, ich skomplikowanym ruchom, nietużyszy strzelec otrzyma od nich dokładne informacje w co najlepiej celować, co głośno bębni a co skacze.

Namiętnie kibicują wszelkim bilardowym rozgrywkom. Ba! Organizują nawet

PAN BÓG KULE NOSI

czasem taka baba, to strzela jak sam Kiszczurno.”

— Uważaj, żebyś łapy nie rozwalił! Heniu, podziel charkę!

Ciemno już było, więc nie wiedziałem z początku na co trzeba uważać i skąd nagle ta charka do dzielenia. Znamy bulgot wyjaśnił wszystko. Obciągał właśnie kolejnego winiacza. Trach! Słusznie, na złotówkę się laszczyć?! Po co. Lepiej butelkę o ścianę, przynajmniej halasu trochę. A że szkło potem? To co? Niech dziady uważają jak chodzą! Na chwiejnych już nieco nogach przesu...ęli się w kierunku budki z piwem. Zamówili trzy małe, z elegancją zdmuchnęli pianę, wypili.

— A teraz Henio pokaże łachon. Jak się strzela!

— Dobra, Andrzejek też.

Trzeci nie nie mówił, męczyła go czkawka.

śmieciami, który mu stanie na drodze.

Henio z kumplami kupowali wino ale są tacy którym to się nie opłaca. „Celne oko, pewna dłoń — to Ojczyzna silna Broń”. Za jedynę pięć złotych celne oko wystrzela taką ilość punktów, za którą dostaje się nagrodę. Kiedyś były to książki, teraz papierosy i wino. Zabiera więc wino konsumuje na poczekaniu (wystarczy wyjść tylko za strzelnicę) i strzela na następne dopóki go oko i kieszeń nie zawiedzie.

Opięciu na razie dosyć. Nie można uogólniać i generalizować. Ludzie nie składają się przecież tylko z pijących czy mających ku temu ochotę. Są jeszcze sportowcy! Ci strzelają dla samej satysfakcji. Mają swój określony

całe mistrzostwa klasy w stolowa piłkę nożną czy hokeja. Od czasu do czasu wyskakują do domu coś zjeść albo odróbić lekcje i wracają z powrotem. Chyba, że zdezerwowany właściciel wyrzuci ich za drzwi. Robią zbyt wiele hałasu i tłoku. Na długo to nie pomaga — wracają. W strzelnicy jest ciekawiej niż w domu. Tu zdobywają pierwsze ostrogi życiowe, dowiadują się, że po wypiciu jednego wina jest bardzo wesoło. Wprawdzie gość celuje i celuje i trafić nie może ale to nie, czasem fundnie przecież piątką do figur.

Przychodzą i starsi, z ogólniaka czy zawodówki. Co innego ulica, co innego cztery ściany. „Strzelnica nie dom, można wypalić przyniesione „pety”, bezkarnie popisać się erudycją w zakresie „kuchennej łaciny”, czy wreszcie spróbować szczęścia w hazardzie. Korzysta jak widać obopólnie.

ową rywalizację. Bohaterowie książek z młodości byli pierwszej rangi strzelcami: Wilhelm Tell, Robin Hood, czy wreszcie Bufallo Bill z dzikiego Zachodu.

Na strzelnicę spełniają się skryte marzenia o sławie. Chyba stąd wypływa właśnie fakt, że najchętniej przychodzi tu młodzież. To przecież miejsce gdzie stawia się pierwsze kroki na arenie życia towarzyskiego, jakże innego niż u cioci na imieninach pod groźnię tyjących okiem rodziców.

Czy nie byłoby słuszne zajrzeć tam od czasu do czasu i zobaczyć co oni robią? Kto ma zaglądać pozostawiam domysłności czytelników.

odpisy str. 3

Marek Konopka pisze z USA

Kilka miesięcy temu sensacja na miarę raczej niezwykłą wstrząsnęła światem przestępczym Stanów Zjednoczonych: w cichej uliczce New Yorku aresztowano wybitnego dyplomata, ambasadora Gwatemali w Belgii, w towarzystwie dwu współpółnych opryszków nowojorskich. Przy dostojnym ambasadzie znaleziono dwie teczkę, obydwie wypełnione heroiną, której wartość detaliczną policja nowojorska ocenia na jakieś półtora miliona dolarów. Ambasador był kurierem i pośrednikiem handlowym pomiędzy hurtownikami w handlu narkotykami na Bliskim Wschodzie i ich odbiorcami w New Yorku. A ile podobnych podróży odbył za życia dyplomata w ostatnich kilku latach, ile teczek z diabelskim proszkiem przewiózł do Stanów Zjednoczonych?

Aresztowanie dyplomaty zwróciło jednak uwagę całego świata na ten tak trudny do wypełnienia rodzaj przestępstwa. Według obliczeń Federalnego Biura dla spraw narkotyków w Stanach Zjednoczonych znajduje się około 75 tysięcy odnotowanych w kartotekach policyjnych narkomanów. Szeroką dziennikarzy, organizacji społecznych i oświatowych, kilka komisji ustawodawczych stwierdza kategorycznie, że liczba ta jest z całą pewnością kilkakrotnie wyższa. Dla ilustracji przytoczymy wypadek stanu Kalifornia. Według statystyki Biura Narkotyków, w Kalifornii mieszka stale 6.214 narkomanów. Według opinii władz policyjnych stanu, liczba ta przekracza 30 tysięcy. Podobnie przedstawia się sytuacja i w innych stanach. Biuro Narkotyków tendencyjnie raczej podaje cyfry dużo niższe niż to ma miejsce w rzeczywistości. Składa się na taki stan rzeczy wiele przyczyn. Prasa od czasu do czasu uderza na alarm, policja pod wpływem alarmu rusza do kolejnej krucjaty przeciwko przemytnikom, handlarzom i narkomanom, ale po pewnym czasie ucicha i wszystko wraca do normy — aż do czasu nowej krucjaty. Handel narkotykami przynosi ogromne sumy, handlarze ze świata podziemnego robią na nim kokosowe interesy, amatorów więc nigdy nie brak. Narkoman, raz pochwycony przez nałóg, nigdy się go już nie pozbeździe, a prawdziwych bonzów i hersztów tego handlu nigdy nie przychwycano — zwykle łapie się robotnik, pośrednik, kurierów, drobiazg, który często z różnych powodów ktoś, zwykle konkurująca firma zaopatrzeniowa, sypnął. Takie mu sypnęli policja nowojorska zawiadująca złowieciami ambasadora Gwatemali. Mimo swego poważnego stanowiska w świecie politycznym, był on jednak tylko plotka. Prawdziwych bossów, jak zwykle i tym razem nie ruszono, nie zna się nawet ich nazwisk. Powszechnie przypuszcza się, że nie handlu narkotykami skupiają się w rekach „Maffii”, że wielkoruszadca i głównym hurtownikiem zaopatrującym Stany Zjednoczone w heroinę, kokainę i morfinę, jest deportowany ze Stanów Zjednoczonych gangster aycylijski, dawny lider „Maffii” w New Yorku — Charlie Luciano. Mr Lu-

ciano nazywany powszechnie „Lucky” czyli szczęściarz, przebywa w Neapolu i stamtąd zarzuca swą przybraną i niewdzięczną ojczyznę coraz to nowymi przesyłkami narkotyków. Biuro Narkotyków wie, że namiestnicy mafii na poszczególne stany odbierają przesyłki i dzieła je pomiędzy detalistów czyli tzw. „pushers” (upychaczy). „Upychacze” rozprawiają towary do swych dostawców. Wiadomą jest powszechnie rzecz, że głównym bossem „Maffii” dla spraw narkotykowych jest niejaki Vito Genovese, że w tej zbrojnej pracy pomagają mu Natale Evola, Paul Castellano i Michele Miranda. Policja wie co ci panowie robią, jak to się tu mówi: „what are they up to”, ale to nie wystarczy, aby ich skazać w sądzie, a tak się dziwnie składa, że świadkowie, którzy mogliby powiedzieć coś o tych pa-

krajów azjatyckich, ale również z oddalonego o miedzę Meksyku. Ze stolicy Dolnej Kalifornii, Mexicali, do Imperial Valley jest tylko parę kroków, których na pustyni nikt nie strzeże. Tam młodzież kalifornijska przechodzi swój narkomański uniwersytet, stamtąd przesącza się do kraju marijuany, kokaina, heroina. Młodzież zaczyna swe studia narkotykowe właśnie od marijuany. Jest to narkotyk raczej łagodny. Cały kłopot z tym, że marijuana jest tylko wstępem do dalszych studiów, pierwszym krokiem na nieuniknioną drogę. Niestety — szybko traci ona swój urok i po zbyt częstym używaniu nie wywiera żadnego wpływu — nawet w dużych dawkach. Młody narkoman jest gotów do dalszych kroków: heroina, kokaina, dziesiątki innych lekarstw i narkotyków

mający za zadanie pilnowanie nocami skonfiskowanych narkotyków w głównej kwaterze Biura Narkotyków wykradał te narkotyki i sprzedawał je w stolicy kraju. Przez parę lat głównym źródłem zaopatrzenia w Waszyngtonie były safe-sy Biura Narkotyków. Kto wie, jak długo trwałaby ta sielanka, gdyby nie donos do policji i spławienie pomyslowego hurtownika. Prawdopodobnie podcinał on dochody zawodowych im-porterów i dlatego go wydano. Jednak mimo wysokich cen narkomanów nigdy nie brak. Dla jednego zastrzyku heroiny, jednego tyku kokainy narkoman gotów jest kraść i rabować, oszukiwać, żebrać, zabijać i mordować. Jest to choroba nieuleczalna, i co dziwniejsze, w Stanach Zjednoczonych karalna. Narkoman, według poglądu, który decyduje w sądach, to łajdak i przestępca. Jako taki powinien być natychmiast odizolowany od reszty społeczeństwa i umieszczony w więzieniu. Narkoman jest więc karany podwójnie:

ku i maści. W wyniku kampanii uchwalono w 1914 roku tzw. „prawo Harrisona”, które zakazało używania narkotyków i ich wolnej sprzedaży. Aż do czasów dojścia do władzy Franklina Roosevelta walka z przemytem narkotyków była jednak raczej opieszala a agencje policyjne mające trudnić się walką z narkomania ospałe i niemrawe.

Walka została zastrzona dopiero po 1932 r. Ale nie daje ona i tak należytych wyników. Sądy amerykańskie, których funkcją jest nie tylko karanie przestępstw i godzenie sporów, ale także rozstrzyganie czy poszczególne prawa i ustawy, jakie się corocznie uchwała, są konstytucyjne, podtrzymały zgodność „prawa Harrisona” z duchem konstytucji. Walka z narkomania znalazła się w rękach aparatu urzędniczego i władz policyjnych. Wiele z krytyków tego systemu uważa jednak, że był to krok zgubny. Powinno się raczej, twierdzą oni, uczynić z narkomanii problem medyczny, nie zaś policyjny. W żadnym innym państwie nie podchodzi się do problemu narkomanii w sposób tak ostry jak właśnie w Stanach Zjednoczonych. Wszelkie leczenie, jakie narkoman przechodzi, musi być dokonywane w rządowych szpitalach więziennych. Szpitale są zwykle przepełnione i narkoman, który pragnie się leczyć, jest w międzyczasie trzymany w więzieniu i poddany swego rodzaju „kuracji”: przez cały czas pobytu w areszcie nie dostaje normalnej dawki narkozy. Wyje zwykle z bólu, ale pomoc nie nadejdzie. Zdaniem amerykańskich władz policyjnych narkoman to „trędowaty” i jako taki musi być on traktowany tak, by swą chorobą nie „zaraził” innych. W ten sam sposób podchodzi zresztą do tego problemu i wielu ustawodawców: w New Jersey, w Ohio, w Michigan każdy człowiek używający narkotyków dla celów innych niż leczenie, jest uważany za nałogowca i i za pierwsze wykroczenie zostaje skazany na rok więzienia. Handlarz przyłapany na gorącym uczynku dostaje obowiązkowo 20 lat, za dalsze wykroczenia — dożywocie. Biuro Narkotyków domaga się, aby każdy narkoman przyłapany po raz trzeci był także dożywotnio więziony, ale to żądanie nie trafia jakoś do przekonania amerykańskiego społeczeństwa.

Problem walki z narkomania jest złożony. Ponieważ narkoman jest uważany za przestępcę, ponieważ aby się leczyć musi sam, o chętnie, poddać się procedurze aresztu, a fakt aresztu ogłaszany jest w prasie, społeczeństwo jest pod wrażeniem, że walka daje wyniki. Niestety, do więzienia idą najczęściej tylko ofiary, skazane na nędzę i degradację siłą nałogu, który jest tysiąc razy silniejszy niż siła prawa. A wielki hurtownik jak zarabiał tak zarabia.

Stany Zjednoczone stoją teraz na progu zmiany rządu. Nowa administracja w Waszyngtonie będzie, wśród wielu innych problemów, musiała zająć się również i sprawą narkomanii. Musi przełamać opory świadków i siłę „Maffii”. Musi pokonać konwencjonalizm sądów i korupcję władz policyjnych na najniższym, samorządowym szczeblu. A przede wszystkim musi zrewidować swój przestarzały system prawniczy, który z chorego nałogowca czyni przestępcę równego w zbrodni temu, który go nauczył tego nałogu i który go w narkotyk zaopatruje. Z rąk policjantów leczenie nałogowców powinno przejść w ręce lekarzy.

Główną przeszkodą w terenie handlu narkotykami jest niemrawa praca policji, powiązania handlarzy z „Mafią” i innymi organizacjami gangsterskimi, skorumpowanie policji na najniższym szczeblu, posługiwanie się systemem konfidantów i szpicli. Do jakich granic dochodzi skorumpowanie policji, może świadczyć sprawa takich ludzi jak Harry Stroberg i Carlos Marcello. Stroberg jest jednym z nielicznych lordów świata podziemnego Ameryki, nie będącym Włochem. Działal w New Yorku, ostatnio przeniósł się do Filadelfii. Przez długie lata zaopatrywał wschodnie wybrzeże Stanów w heroinę, produkowaną na własnych planacjach w Turcji i laboratoryjnie przetwarzaną w Belgii. Władze policyjne



nach, zawsze giną tajemniczą śmiercią na kilka dni przed rozprawą. Biuro Narkotyków próbowało świadków trzymać w więzieniu dla ich własnego bezpieczeństwa, ale nawet i to nie pomogło: zdarzało się, że taki świadek albo marł „śmiercią naturalną”, albo popełniał „samobójstwo”. Nie należy się dziwić, że ostatnio świadków jest raczej trudno zdobyć.

Włochy nie są bynajmniej jedynym źródłem zaopatrzenia. Władze amerykańskie zdają sobie sprawę z faktu, że dużo narkotyków napływa z Bliskiego Wschodu — głównie z Turcji i Syrii, jak również z Indii, z Dalekiego Wschodu — z Hong Kongu, Sjamu, Wietnamu. O ile Bliski Wschód i Włochy zaopatrują porty wybrzeża atlantyckiego i Zatoki Meksykańskiej, to narkotyki z Dalekiego Wschodu napływają do portów Pacyfiku. Kalifornia jest o tyle w trudnym położeniu, że narkotyki napływają tam nie tylko z

pod różnymi nazwami, różnymi postaciami biorą go w swe łapy i już nie wypuszczają. Pod tym względem tak lekarze amerykańscy jak i policja są zgodni: kto raz został narkomanem, ten narkomanem będzie zawsze. Ludzie przechodzą kurację za kuracją i za każdym razem wracają do nałogu. „Małpa na grzbiecie”, jak gwarą ludową nazywa nałóg, nie zejdzie już z grzbieta biedaka. Nie pomoże silna wola, pieniądze i stanowisko. „Małpa” niezmennie zwycięża.

Ceny, jakie płaci ofiara za narkotyki, są wprost astronomiczne. Zysk to raczej łatwy i wielu ludzi ulega pokusie. Najwięcej narkotyków sprzedaje się w wielkich miastach, narkomani rekrutują się głównie ze świata artystycznego: to muzycy jazzowi, młodzi plastycy, aktorzy filmowi. Wielkomięskie władze policyjne są często w zmoiwie z tymi, którzy narkotyki rozprawiają. W Waszyngtonie specjalny detektyw

przez odmówienie mu narkozy, do jakiej przywykł i przez wsadzenie go do więzienia. Dla narkomana utrata narkotyku jest jednak karą dużo gorszą.

Przez długie, długie lata narkotyki były sprzedawane w Stanach Zjednoczonych bez żadnych ograniczeń i zakazów. Aż do czasów I wojny światowej palenie papierosów było w Ameryce uważane za gorszy występki przeciwko moralności niż spożywanie opium. Jeszcze 40 lat temu było rzeczą powszechnie wiadomą, że blisko 5 proc. dorosłych Amerykanów, to narkomani. „New York World”, znane czasopismo tego okresu donosiło, że kokaina i jej pokrewne narkotyki są tańsze w New Yorku niż whisky, tańsze nawet niż piwo. Od tego czasu ceny oczywiście uległy radykalnej zmianie. Przyniosła tę zmianę długotrwała kampania organizacji społecznych, magazynów kulturalno-literackich, postępców i radykałów wszelkiego gatun-

— Pogotowie łódzkie — powiedział mi dr Adynowski — jest przeciążone pracą. Czasami po 200—400 a nawet 600 wezwań na dobę przy kilku nastu karetkach i tyluż lekarzach. Wezwania są różne, uzasadnione i nie. Tych drugich jest stosunkowo dużo. Bynajmniej także tzw. wezwania złośliwe. Ludzie dzwonią po karetkę — podając jako przyczynę wezwania np. wypadek na ulicy. Po przyjeździe lekarza okazuje się, że chory po prostu ma gripę!

Problem palący i aktualny! Czy ludzie nie wiedzą do czego należy wzywać pogotowie? Czy ludzie nie rozumieją, ile traci człowiek naprawdę potrzebujący pomocy wtedy, gdy nie ma karetki i lekarzy, bo ci wyjechali do chorych na anginę lub gripę. (od czego lekarze rejonowi i lekarze z pomocy świątecznej?). Problemów takich jest wiele, i wiele z nich należałoby rozwiązać jak najszybciej. Ułatwiłoby to pracę lekarzowi i chory szybciej otrzymałby pomoc.

Początek tego dyżuru był dla mnie atrakcją. Wyobrażałam sobie ilu ludzi, ile różnych środowisk zobaczę w ciągu tej nocy. Byłam zresztą tylko biernym widzem, nie ciążyła na mnie żadna odpowiedzialność.

Pierwsze wezwanie. Przyjeżdża telefonistka i oddaje dyspozytorowi. Ten wzywa lekarza przez wewnętrzny radiowęzeł. Sanitariusz zawiadamia kierowcę. Wszystko to trwa ułamki minut... i wyjazd. Powód — dziecko — 40° gorączki.

Jedziemy daleko, na krańce miasta. Zaczyna się błądzenie, szukanie. Pytanie przechodniów o ulicę, dom... „Nocny problem i błądzenie” — mówi dr Adynowski — to brak oświetlonych

gmachu dociera głos głośników radiowych:

— Zespół 7 proszę do wyjazdu... Wypadek.

Teraz lekarz nie schodzi ze schodków. Biegnie. Silnik samochodu już pracuje. Sucho trzaskają drzwi. Zapalają się reflektory. Jekliwie zawodzi syrena. Wypadek! Każdy ułamek minuty jest drogi. Pomoc potrzebna natychmiast! Syrena rozgania samochody i ludzi. Trzej ludzie w karetce są jeszcze bardziej spokojni i opanowani niż zwykle. Od nich może zależeć za chwilę wiele. Bardzo wiele.

Jest prawie północ. Rośnie sterta niedopałków w popielnicze. Coraz więcej wezwań. Co parę chwil zagląda do dyżurki zaspany lekarz. Sanitariusze odnoszą zlecenie wyjazdu. Większość przypadków powtarza się. Atak kamicy wątrobowej, nerkowej, atak serca. Najczęściej nerwice.

W ciasnym, brudnym pokoiku panuje nieład. W łóżku, w szarej z brudu pościeli leży kobieta. Ma około czterdziestki. Twarz pokryta potem. W oczach maluje się przestraszenie. Człowiek w białym fartuchu pochyla się nisko. Czerwony wąż fonendoskopu tkwi w uszach. Kobieta cichym, ledwo dosłyszalnym głosem skarży się na ból w okolicy serca, nieznosny, gniotący ból promieniujący wzdłuż lewej ręki.

— Nitrogliceryna — decyduje lekarz. Mijają sekundy i minuty. Wreszcie człowiek w białym fartuchu wyprostowuje się nad łóżkiem.

— „Inferetus mycardi” — mówi cicho. Zawal serca.

To znaczy tygodnie leżenia w szpitalu, to znaczy długie i żmudne leczenie. Lekarz zwraca się do sanitariusza:

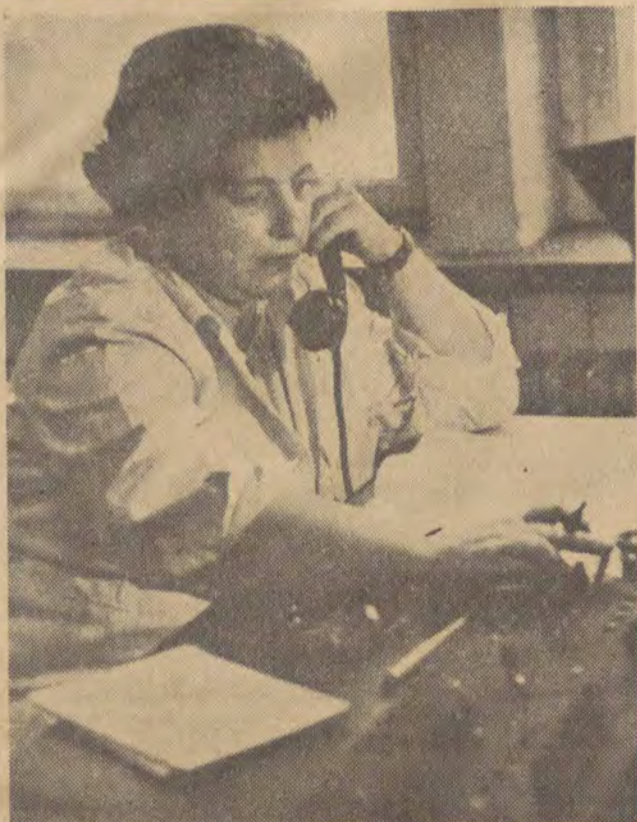
numerów, brak tablic z nazwą ulicy. Wszystko to opóźnia przyjazd karetki do chorego. Czy nie należałoby pomyśleć o uregulowaniu tak prostej sprawy? Gdzie komitety domowe i blokowe?

Nareszcie znaleźliśmy: brudne, ciemne podwórko, skrzypiące schody. Pokój, w którym leży chore dziecko pełen ludzi, — matka, babka, ciotka, rodzeństwo. Tak, rzeczywiście jest temperatura, ale choruje już od rana. Należałoby wcześniej zwrócić się do lekarza rejonowego. Czy do tego potrzebne jest pogotowie? Tarcocylin, pyramidon — za kilka dni będzie zdrowy, mówi lekarz Pakowski. — angina. Rozczarowywałam się coraz bardziej. Nie tak wyobrażałam sobie rolę Pogotowia. Droga radiowa zapytujemy czy są jakieś wi-

KRYSTYNA
WYSZOMIRSKA

Zdjęcia:
ZOFIA
WDOWKÓWNA-OŁDAK

P O M O C



Pogotowie Ratunkowe, słucham — odzywa się głos w słuchawce



Pogotowie przyjechało



Do Pogotowia przywieziono chorą

POTRZEBNA

zyty dla nas. — „Jedynka” — chrypi głośnik — „wracaj do bazy! — Nic nie ma. Odbiór. — Halo baza — Rozumiem. Wracam”.

Następny wyjazd. Teraz jest coś poważnego: rak żołądka z przerzutami. Bóle. Tu może pomóc tylko morfina. Człowiek o pergaminowej skórze, o twarzy wykrzywionej bólem leży skurczony na łóżku. Teraz zaczynam rozumieć pracę lekarza. Rozczarowanie mija. Ogarnia mnie lęk i poczucie własnej bezsilności.

Telefon w biurze zgłoszeń. Taki sam jak wszystkie inne. Ale telefonistka mówi szybkim, podniesionym głosem:

— Gdzie? Pod tramwaj? Chłopiec...

I potem głośno do dyspozytora:

Wypadek...

W sekundę później do wszystkich zakamarków

— Proszę przynieść nosze. Ciasny, brudny pokój pustoszeje.

Godzina 2-ga. Lekarz ma zmęczone oczy, ale uśmiecha się jeszcze. Za godzinę przestanie się uśmiechać. Będzie już tylko bardzo zmęczony. A przecież rano o siódmej można tylko się umyć i trzeba iść do swojej normalnej, szpitalnej pracy. Dlatego o 3 rano trudno uśmiechać się.

Lekarze pogotowia są młodzi, zrozumiałe.

Który starszy, znany już lekarz zechce za stosunkowo niskim wynagrodzeniem jeździć całą noc czy dzień karetką?

Nieprzespane noce, denerwująca praca i piętra, piętra... Konieczność decydowania o dalszym losie chorego jest niekiedy bardzo trudna. Problem pozostawienia go w domu czy też przewiezienia do szpitala trzeba rozstrzygnąć natych-

miast, przy jego łóżku. A lekarz pogotowia ma jedynie do dyspozycji fonendoskop i aparat do mierzenia ciśnienia krwi. Szpitalne analizy i badania, zastąpić musi doświadczenie i wiedza. Kliniki i szpitale są ciągle przepełnione. Lekarze dyżurni, przyjmują tylko chorych z bezwzględnie wskazaniami do hospitalizacji. Lekarz staje przed trudnym zadaniem. Czy narządzić chorego na niepotrzebne wozienie karetką, czy też pozostawić go w domu bez potrzebnej mu opieki fachowej? Decyzja musi być szybka i trafna. Ciężko jednak na nich odpowiedzialność za podjętą decyzję wobec chorego, rodziny, prokuratora a wreszcie samego siebie. Poza tym jakże często człowiek cierpiący, rozdrażniony i złośliwy odnosi się do lekarza niegrzecznie, nawet ordynarnie, utrudniając mu i tak ciężką pracę. Dlatego też nie trzeba się dziwić, że lekarze są czasem zdenerwowani, zmęczeni a nawet zniechęceni. Rzadko słyszą od ludzi słowa wdzięczności i pochwały. Słowa, które tak bardzo im się należą.

Rzadko który lekarz wytrzymuje w Pogotowiu dłużej niż 3 lata.

— Mówi wicedyr. Adynowski:

— Pogotowie łódzkie jest o tyle trudnej sytuacji, że karetki muszą docierać do chorych czasami po kilkanaście km. poza Łódź. Czas upływa, ludzie czekają. Należałoby ograniczyć dojazd i już od stycznia stacja obsługiwać będzie tylko teren Wielkiej Łodzi. Najważniejszym problemem jest dla nas skrócenie czasu dojazdu do chorego. Średni czas powinien wynosić 10 min. a nawet mniej. W tej chwili waha się między 10—17 min. a i powyżej. Poza tym należałoby zmniejszyć ilość wezwań. Poprawić jakość usług przez szkolenie lekarzy i nowe metody leczenia. Zaczął się już kurs toksykologii klinicznej dla całego personelu stacji.

Tabor samochodowy łódzkiego Pogotowia Ratunkowego składa się z karettek chorobowych — wypadkowych (tych jest najwięcej), ginekologiczno-położniczych, pediatrycznych i karettek przewozowych. Te ostatnie czynne całą dobę przewożą chorych na zlecenie lekarzy rejonowych z domu do szpitala lub odwrotnie. Stacja Pogotowia Ratunkowego m. Łodzi dysponuje niewielkim szpitalem, gdzie leczy się głównie przypadki urazowe. Znajdują się tu chorzy, którzy ulegli wypadkowi przy pracy lub na ulicy i co do których zaistniała konieczność leczenia w warunkach szpitalnych. Poza tym całą dobę czynna jest przychodnia doraźnej pomocy, gdzie załatwia się pacjentów zarówno przywiezionych przez karetkę, jak i tych, którzy

sami zgłosili się do stacji. Wykonuje się tu drobne zabiegi chirurgiczne, zaopatrzuje złamania i odsyła do domu a w razie konieczności pozostawia w szpitalu.

Na któryś tam z kolei wyjazd, prawie nad ranem pojechałam z dr Bańkowskim. Wypadek. Przecięte żyły. Godzinę trwał ten dojazd. Błądziłszy po rozkopanych ulicach, w deszczu i błocie po kostki. Nikt z rodziny chorego nie wyszedł po nas. Bloki, grzyby, ciemno, brak numerów (znowu!). Gdzieś człowiek potrzebował natychmiastowej pomocy. Byłam zupełnie roztrzęsiona. Mijały minuty. Doktor pocieszał mnie. Bałam się, że przyjeździemy za późno. Nareszcie, trafiliśmy. Na schodach stała młoda kobieta, podarty szlafrok, czarne sińce pod oczami, na rękach ślady krwi. Tak! To żona.

„Mał podciął sobie żyły, po pijanemu. To już nie pierwszy raz — opowiada. — Poblił mnie. Teraz zamknął się w łazience. Siedzi tam chyba z godzinę. Nie możemy otworzyć”.

Patrzyłam na jej twarz i nie dostrzegłam odrobiny wzruszenia, strachu. Nic...

Mały pokój, w łódeczku leży kilkumiesięczne dziecko. Drugie, niewiele starsze, kuliło się w kącie. Na podłodze ogromne kałuże skrzepłej już krwi. „Gdzie?” — krzyknął doktor. „Tu” — odpowiedziała spokojnie, wskazując oczyma drzwi. Nie mogliśmy otworzyć. Trzeba było wezwać milicję. Nikt nie chciał pomóc. Nareszcie udało się otworzyć. Młody, nagi mężczyzna w kałużach krwi. Okropny widok. W zapaści — stwierdził lekarz. Zabieramy go do szpitala. Rozmowa z rodziną chorego była co najmniej dziwna. Czulo się, że żonie, ojcu i pozostałym absolutnie nie zależy na życiu tego człowieka. Że właściwie byłoby lepiej, gdyby nie udało się go uratować. — „Pijak — mówił ojciec. Bydło! Córkę bije. awanturuje się. Ciągłe nas straszy!”

Nikt nie chciał pomóc przy znoszeniu go ze schodów. Obojętne twarze, a nawet rozczarowane, że jednak żyje.

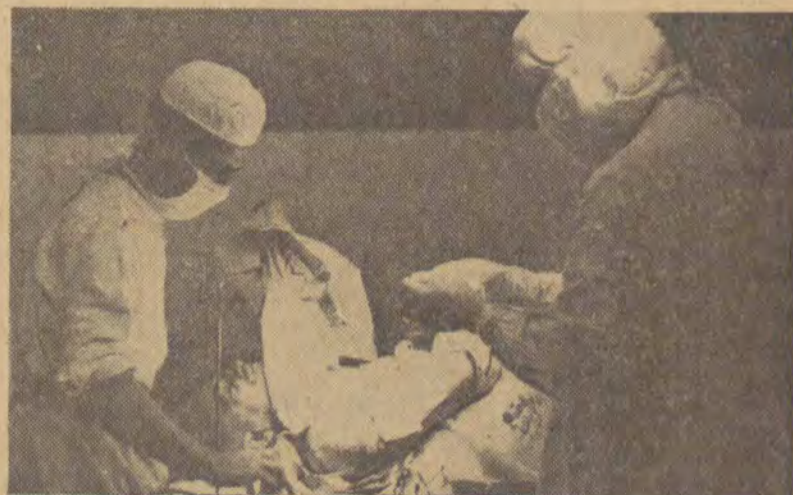
Byłam przerażona. Więc to są ludzie?

Lekarz pogotowia widzi wiele. Poznaje ludzi ze stron nie znanych nam zupełnie i uodparnia się powoli na to wszystko co dla nas, laików jest okropne i niezrozumiałe. Wracając do bazy zupełnie zalamana. Dużo, bardzo dużo zobaczyłam w ciągu tej nocy. Powoli mrok ustępuje szarości świtu. Godz. 7.00. Jedna po drugiej wracają do bazy karetki. Kończy się noc, ale nieustalający dyżur trwa. Rząd karettek z zielonym pasem czeka gotów nieść pomoc wielkiemu miastu.

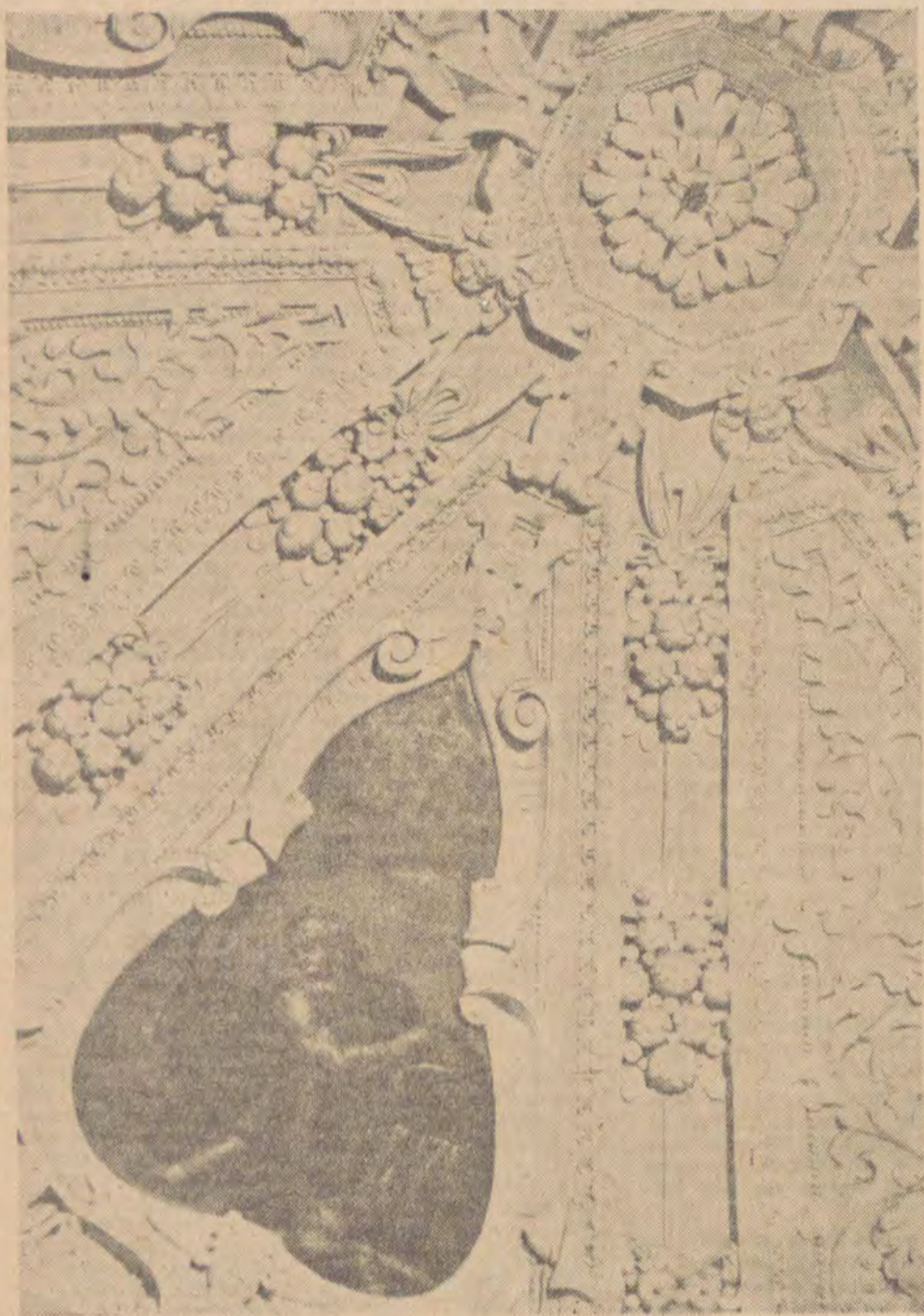
NATYCHMIAST...



Przygotowanie do operacji



Pierwsza pomoc w sali operacyjnej Pogotowia



I

Tutaj bywam bardzo często, od dzieciństwa, od kilkunastu lat. Za każdym razem zaraz po przyjeździe uważnie kontroluję miasteczko. Jest ciągle takie samo, nie zmienia się. Znam na pamięć jego geografie, wystarczy zamknąć oczy, żeby sobie wszystko dokładnie przypomnieć. Miasteczko położone jest na wzgórzach, niewielkie, schludne domki, z daleka i z góry nie widać wybrukowanych, zakurzonych uliczek. Dużo zieleni, a na skraju całe jej morze — park otaczający barokowy pałac hrabiów Potockich. Łańcut.

O Łańcutie wspomina się w ostatnich latach dość często. Pisał ładne reportaże Brandys, czasem w ramach odświeżania historii, a szczególnie jej sensacji, ktoś przypomni o staroście Stadnickim, słynnym „Diable Łańcutkim”, panu możnym i butnym gniebiącym ludność i toczącym z sąsiadami długotrwałą wojnę. Narekono nawet o Łańcutie dwa filmy: jeden obrazujący pałacowe wnętrza i jedyny bodaj w Europie muzeum powozów, drugi według wydanego za granicą pamiętnika hrabiego Alfre-

da Potockiego, ostatniego pana na Łańcutie, właściciela 30.000 hektarów ziemi. Ciekawy to był i prawdziwy, choć bardzo symptomatyczny dokument. Ze prawdziwy łatwo sprawdzić. Jeszcze dziś, po szesnastu latach od wyzwolenia, głównym tematem domowych łańcutkich rozmów jest dynastia Potockich. Szczególnie żywo pamięta się ich trzech ostatnich przedstawicieli.

Jerzy Potocki był przed wojną ambasadorem Polski w Stanach Zjednoczonych. „Starsza Pani” Romanowa Potocka, matka Jerzego i Alfreda, znana jest ze swej dumy i nieprzystępności nawet dla ludzi jej warstwy oraz z tego, że w wieku lat sześćdziesięciu kilku szczególnie lubiła konne spacerować. I wreszcie Alfred hrabia Potocki, ordynat na Łańcutcie. O nim szczególnie się pamięta. Przedtem zanim za zezwoleniem władz hitlerowskich, tuż przed wkroczeniem radzieckich wojsk, uciekł do Szwajcarii wywołując jedenaście wagonów najcenniejszych dzieł sztuki i kosztowności, był w Łańcutcie gościem dość rzadkim. Miał wielu przyjaciół — nawet bardzo egzotycznych, indyjskich ma-

haradźów i afrykańskich kacyków — wolał spędzać czas u nich na polowaniach i powiększaniu swoich myśliwskich trofeów. Ale oczywiście bywał i w Łańcutcie. Wtedy rola się od gości. Tych dostojniejszych, królów i prezydentów, witała kompania honorowa straży pożarnej i dęta orkiestra. Odbierały się wielkie bankiety, bale, a w pałacowym ślicznym teatrzyku występowały słynni artyści. Czasem hrabia Alfred dawał się widzieć swoim poddanym. Stałym było zwyczajem, że w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, w dzień św. Szczepana, ujmując rekami w nieskazitelnie białych rekawiczkach leżące ślad na koźle zaprzężonej w czwórce karety, fagas stojący na ławeczce za pudłem karety dawał fanfare i hrabia z szumem, godnie, trzaskając ludowo z bąka zajeżdżał pod kościół. Ale w ten dzień nie zasiadał w swojej łóż. Szedł „w lud” i stał jak zwykły śmiertelnik obok szewca, rolnika czy piekarza. Kiedy rozpoczynało się tradycyjne rzucanie zbożem i grochem i kiedy tym zbożem i grochem zbity spoufalano się z „Jego Wysokością” hrabia wyjmował z kieszeni garść

srebrnych dwu- i dziesięciogroszów i rzucał nimi w tłum. Radość była obopólna, a hrabia uważał się za ludomana.

Piszę tyle o hrabiach herbu półtrzcica krzyża — robie to świadomie. Łańcut niedawno obchodził uroczystości sześćsetlecie swego istnienia. Przez te sześćset lat historia Łańcuta to nie historia małego, biednego miasteczka, to historia hrabiowskiego rodu, ich bankietów, wojen, koligacji, ich trzysta sześćdziesięciu sześć pokojowego pałacu, ich pięknego, rozległego parku. To małe miasteczko musiało być przytłoczone przez taki ogrom. Jeśli ktoś o nim wiedział, to właśnie dlatego, że mieszkali tu Potoccy. Samo centrum przysiółkowej galicyjskiej biedy: odciec dzielił trzymorgowe gospodarstwo między trzech synów — nie od rzeczy nazywano tę ziemię Głodomierią. O czym można było mówić — o trzech dzielonych morgach czy o trzydziestu tysiącach hektarów? O chudych dorobkarskich szkapach czy stadninie rasowych koni arabskich? Stąd ludzie tysiącami emigrowali do Ameryki, do Brazylii. O czym można było mówić, jak nie o hrabiowskich wojach do Wiednia, do Paryża, do Berlina?

Hrabiowie przytłoczyli małe miasteczko. Tak było przez lat 584. A te ostatnie, wolne już lata?

Tu zaobserwować można zjawisko bez precedensu. Łańcut jest dumny ze swoich hrabiów, choć ród już wymarł, zakończył się na bezpotomnie zmarłym przed kilku laty Alfredzie. Jeszcze teraz hrabiowie przytłaczają Łańcut. Sąd wyżej wypowiedziany nosi piętno kategoryczności, nie jest jednak sądem kategorycznym. Jestem w poważnym kłopotcie, bo z jednej strony wiadomo: niedza, wyzysk, nawet bunt chłopów, a z drugiej strony zjawisko, o którym opowiem.

Kiedy Rzeszów i okolice miasteczka został zajęty przez szybko posuwającą się ofensywę radziecką, hrabia Alfred był już daleko za granicą. Uciekł ze zbieranymi od setek lat dziełami sztuki, zabytkami i kosztownościami. Ale w łańcutkim pałacu pozostały jeszcze skarby, które w nie strzeżonym otwartym na oścież pałacu — zostały. Pałac awansowano do rangi muzeum. W pierwszych latach działy się tu rzeczy straszne. Przepiękne stare meble używane jako dekoracja do wielu filmów, niezbyt pieczołowicie transportowane do różnych miejscowości, łamały się niszcząc. Butwały kosztowne makiety i pękły najpiękniejsze w Polsce drewniane posadzki — dzieło słynnych majstrów z Kolbuszowej. Łuszczyła się farba na cennych obrazach. Wszyscy wiedzieli, że kolejno następujący dyrektorzy muzeum to złodzieje. Dyrektorzy się zmieniali, sumy przeznaczone na konserwację znikły w niewiadomy sposób, pałac niszczał. Walczyli z tym zniszczeniem dawni... lokaje i służba hrabiowska, dziś pracownicy muzeum. Za psie pieniądze po godzinach pracy robili wszystko, aby pałac uchronić od ruiny. Potem dyrektura objął mądry i uczciwy dyrektor. Pałac znów jest świetny. Dawni lokaje hrabiowscy i służba pałacowa dziś przewodnicy i pracownicy muzeum zostali, mniej się martwią i z zadowoleniem pracują za marne pieniądze.

Choć mogli przecież przejść do największej w Polsce fabryki śrub zatrudniającej wiele ludności z Łańcuta i okolic i dobrze zarabiać — zostali. Tu mogłoby teraz nastąpić optymistyczne, lecz szablonowe podsumowanie: wytworzył się socjalistyczny, najwłaściwszy stosunek do pracy, do własności społecznej, wyrosł nowi ludzie, wyrosli właśnie z tych hrabiowskich fagasów. To nie byłaby synteza prawdziwa. A miejsce na nowych ludzi jeszcze się znajduje...

To dziwne miasteczko — Łańcut. Miasteczko kontrastów. Bo z jednej strony przytłaczający balast historii, obyczajowości, w którą już prawie nie można uwierzyć, a z drugiej pęd do wiedzy, kultury, nowoczesności. Donosił kiedyś ze zdumieniem „Przegląd Kulturalny”, że jest w Rzeszowie (właśnie w powiecie Łańcut) wieś, z której 250 młodych ludzi aktualnie studiuje na wyższych uczelniach, że właśnie w tej wsi zdarzył się wypadek zerwania narzeczeństwa, a powodem jego było obłanie matury przez narzeczoną. Ta na pozór najbardziej zapadła część Polski znana jest z najwyższej kultury muzycznej. W Łańcutie aż rol się od różnych chórów zespołów baletowych i orkiestralnych. Jest amator-

zainteresowaniu młodą literaturą — faktach, które muszą świadczyć o istnieniu właśnie nowych ludzi. Entuzjazm jednak nie może być pełny, synteza hurraoptymistyczna, a teza o mieście kontrastów musi być niestety, zrealizowana. Trudno w reportażu oddać nastrój, wrażenie. Wyobrażam sobie film: powolna wędrówka kamera po wybrukowanym, dziurawym rynku, smutnym skwerku, nieregularnych liniach uliczek. Potem trzy szybkie ujęcia: trzy obskurne knajpy. Miejsca, gdzie się skupia niedzielne życie Łańcuta. Jeśli się to zobaczy, jeśli popatrzy się na twarze ludzi — nieodparcie nasunie się ponura myśl — tu się nic nie dzieje. Nic się nie dzieje? Mimo wszystko nie?

Jeżeliśmy wzbijając tłumany kurz zakurzoną, złą ogą. W nakrytym brezentem pudle ciężarówką, było nas kilkanaście osób: Przyjeźliśmy ze sobą kilkanaście młodych studentów, dla naszej czwórki — dla Krystyny, Jadwigi, Czesława i mnie było to pożegnanie z obozem. To był na studentkim obozie ZMS stworzony teatrzyk. Zaczęło się od przekory. Powiedziano nam na zebraniu: to może teatr rapsoedyczny tutaj stworzyć? I rzeczywiście, stworzyliśmy.

ski zespół teatralny wystawiający na przyzwolnym poziomie dobre operetki, jest ognisko muzyczne, do którego nigdy nie braknie kandydatów. W tym miasteczku „Nowa Kultura” i inne czasopisma literackie są rozkupowane do ostatniego egzemplarza, co jest faktem zupełnie niebywałym. Można tu wspomnieć jeszcze o zawsze pełnym kinie, licznych wyjazdach mieszkańców Łańcuta do teatrów w Rzeszowie, bardzo wysokim poziomem czytelnictwa, o

Po czterech dniach montowania programu poetycko-muzycznego wystawiliśmy na werandzie bez ścian, pod kolorowym dachem pierwszy i ostatni program. Kiedy sobie dzisiaj wszystko przypominam mimo dużego krytycyzmu widzę, że to była dobra rzecz. Wiedzieliśmy o tym wszyscy i byliśmy z tego dumni. Tym bardziej zabolało nas, że ten pierwszy



Tekst: MAREK WAWRZKIEWICZ
Zdjęcia: KAZIMIERZ MUCHA

występ zakończył się klęską. Stwierdziłmy wtedy, ile prawdy jest w powiedzeniu: publiczność powinna mieć talent. Publiczność składała się ze studentów — dla nich Gałczyński okazał się niezrozumiały. Zwycięstwo jednak pozostało ostatecznie przy nas. Okazało się, że byli ludzie, którym nasz teatrzyk podobał się. Jednym z nich okazał się... komendant MO powiatowego miasta Parczewa. On zorganizował nasz występ w Powiatowym Domu Kultury i tam właśnie jechaliśmy dzisiaj, niepewni, jak nasz żart przyjmą ludzie, którzy, jak słyszeliśmy, nie prawie o Gałczyńskim nie wiedzieli.

Miasteczko gdzieś w Polsce. Niskie domki sprawiające wrażenie pomarszczonych, gęsto oblegające obszerny nierówny zaburkowany plac rynku, sklepy z połówkami od słońca eksponującymi na wystawach, śmieszne i jakby sprzed lat zachowane szyldy, jeszcze fryzjer na rogu, jeszcze restauracja III kategorii z

wieczorze zabawa taneczna. Gra orkiestra studencka. Wstęp na wieczór 5 zł, na zabawę 10 zł. Dochód na budowę szkół Tysiąclecia. Wchodzimy do sali, w której mamy wystąpić. Jest ładna, scena ma duże zaplecze, mechaniczna kurtyna, reflektory, garderoby. Za kulisami olbrzymi obszar dekoracji do sztuki, którą wystawiał miejscowy, amatorski zespół teatralny. Obszar przedstawia liryczny pejzaż — jest w swoim rodzaju śliczny i brakuje na nim tylko ryczącego jelenia. Po drugiej stronie wejścia do sali widowskiej świetlica. Na stołach „Nowa Kultura”, „Zwieje Literackie”, „Przegląd Kulturalny”. Radio, ludzie słuchają relacji z olimpiady. Właśnie Kukier przegrywa z Homborgiem. Wszyscy się bardzo martwią. W tej świetlicy rozmawiam z oficerem milicji, który się nami opiekuje. Mówi mi:

Musicie się bardzo postarać. Ludzie tutaj nie lubią studentów. Są dla nich zbyt weseli i zbyt swobodni. A ja



starym. Choć ci starzy, podobno do pochwał dodawali, że nie bardzo rozumiały jest ten Gałczyński.

Nie wiem czy poznaliśmy to miasto przez krótki po nim spacer i jednostronną rozmowę przez rampę. Płytkie jest to poznanie, bardzo powierzchowne. Ale chcieliśmy ten dzień powtórzyć, przypomnieć sobie kontakt z tymi ludźmi, którzy chcieli zrozumieć nasz żart, naszą chwilę lirycznego zamyslenia, cieszyć się groteską, śmiać ze śmiesznego odwracania świata. Ze złotą młodzieżą, która się u nas uśmiechała, z tym oficerem milicji, który naszą zgłodniałą czwórkę nazajutrz rano zaprosił na śniadanie złożone z chleba z jajecznicą i dobrze naparzonej czarnej kawy. Z ludźmi, którzy mimo wszystkich uprzedzeń chcieli się bawić z nami i rozumieć nas. Chcielibyśmy kiedyś jeszcze wrócić do tego małego miasteczka.

W POLSCE

bardzo szumnym tytułem. Paredziest metrów za rynkiem miasteczko rozluźnia się, płyty chodników są bardziej popękane, więcej jest błotnistych kałuż. Współczesność dokumentują tylko gdzieś stojące kioski „Ruchu”. Ogródki przy domach stają się większe, są w końcu pola uprawnymi, domy stoją coraz luźniej, aż rozplywa się granica między miastem i wsią, aż wszystko przechodzi w równiny, niczym nie urozmaicony do horyzontu krajobraz.

Na tablicy ogłoszeń przed Domem Kultury afisz: „Wieści o poezji K. I. Gałczyńskiego w wykonaniu teatrzyku studenckiego”. Po

byłem studentem — studiowałem prawo w Warszawie. Również moja żona była studentką. Mam też kolega, który studiował. Postarajcie się. Musicie się podobać nie tylko na scenie. Nam na tym zależy.

Kiedy wychodzę przed scenę, aby opowiedzieć 300 zebranych parczewianom o Gałczyńskim (mów tak jak byś mówił dla ósmej klasy — radzono mi) spostrzegam w czwartym rzędzie sympatyczną, siwowłosą kobietę. Już teraz spokojnie i bez tremy mówię właśnie do niej. Już tylko półtorej godziny gorączki i zdenerwowania. Niepotrzebne, bo dzisiaj „wszystko wychodzi” — rze-

czy dobre, wątpliwe i improwizacje. Obserwujemy się kolejno zza kulis. Obserwujemy salę. Żart został zrozumiany, pointy trafiły. Śmieją się razem z nami i milczą wtedy kiedy jest potrzebne milczenie. Oklaskują. Jadwigę za „Szekspira i chryzantemy”, Irenę za wierszyk o pszczołce, Krystynę za nasze łódzkie „Parasolki”. Zapada ostatni raz kurtyna. Dziękujemy sobie. Wchodzi nasz opiekun. Mówi — „postaraliście się”. No, więc mamy to polskie sławne uczucie „honor studentów uratowany”. Zbieramy recenzje. Podobaliśmy się księdzu proboszczowi i nauczycielce liceum, młodym i



Dokończenie
ze str. 2

„Wszyscy jesteście sędziami” — procesu młodego, bo dwudziestoletniego pisarza, oskarżonego o zabójstwo swego stryja, który młodemu pisarzowi uwiłódził żonę. Rudnicki ma oczywiście rację, jedynie prawdziwe ułatwienie życia stanowią ograniczenia, trudno tu coś dodać, diagnoza i wniosek są na pewno słuszne. Sytuacja nie jest jednak chyba aż tak tragiczna, bo styl życia i sposób patrzenia na życie tej warstwy młodzieży, którą reprezentował młody pisarz i jego żona (a tylko o tej młodzieży pisze Rudnicki) nie mają zapewne wiele wspólnego z tym widzeniem spraw miłości, jakie posiadają chłopiec czy dziewczyna, dojrzewający w in-

nym środowisku czy, powiedzmy, gdzieś w małym, prowincjonalnym miasteczku. Rudnicki przytacza co prawda zasłyszany dialog dwojga młodych ludzi, mający świadczący o złąbnym bo łatwym traktowaniu spraw łóżka (oto ów dialog: „On namawia ją, żeby poszła do niego. Ona: Jak panu bardzo zależy... Ja nie lubię odmawiać ludziom rzeczy, które mogą im sprawić przyjemność. On: Dziękuję.”), dialog ów nie świadczy chyba jednak o całej młodości, a raczej tylko o środowisku. Lamenty (miłości nie ma, moralności nie ma, lojalności trzeba szukać ze świecą) wydają się więc raczej zbędne. Warto by się może natomiast zastanowić, skąd bierze się tu i ówdzie owa niechęć do ograniczeń, owo przeświadczenie, że praktycznie jest warunkiem szczęścia. Powtarzam tu i ówdzie, bo stare tablice wartości tylko tu i ówdzie tarzają się w błocie. Jak bowiem wynika z badań, przeprowadzonych przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radio (o wynikach tych badań pisze w ostatnim numerze „Polityki”) Barbara Zawadzka (wśród absolwentów szkół średnich, na pytanie: „Do czego głównie obojętnie w życiu dążysz?” około 30 proc. badanych odpowiedziało: „Do szczęścia rodzinnego”), a „zaniebdywanie obowiązków rodzinnych i zdrada małżeńska spotykają się z potępieniem

ogromnej większości badanych”.

„Rekonstrukcja poety“

„Rekonstrukcja poety”, nowa sztuka — czy raczej słuchowisko? — Zbigniewa Herberta, to jeden z najznakomitszych tekstów, jakie mogliśmy ostatnio przeczytać w naszych periodykach literackich. „Rekonstrukcja” wydurowana została w dość ekskluzywnym i liczącym na raczej specyficzny krąg odbiorców miesięczniku „Wię” (nr 11—12), może więc wymknąć się czytelnikom. Warto przeto polecić ją ich uwadze, umiejętność myślenia wierszem — i myślenia o wierszu — dana jest niewiele po- etom, Herbert ją posiada, rekonstruując — a właściwie konstruując — nie znane poematy Homera, mówi więcej o losach sztuki naszego wieku, a przede wszystkim o losach poezji wieku, niż uczone eseje znawców przedmiotu.

— To jest dopiero początek — mówi twórca epopei, niewidomy Homer znany jako Anonim z Milo — Początek zawsze jest śmieszny. Siedzę na najniższym stopniu świątyni Zeusa-Cudotwórcy i zachwalam mały palec, tamaryszek, kamyki.

Nie mam ani uczniów, ani słuchaczy. Wszyscy stoją za-

patrzeni jeszcze w wielki pożar epopei. Ale to już dogasa. Niedługo zostaną tylko osmalone ruiny, które zdo- będzie trawa. Ja jestem trawa.

Czasem myślę, że może uda mi się z nowych wierszy wyprowadzić nowych ludzi, którzy nie będą dodawali żelaza do żelaza, krzyku do krzyku, przerażenia do przerażenia.

Można przecież żarno do ziarna, liść do liścia, wzruszenie do wzruszenia.

I słowo do milczenia“.

Na co Profesor, specjalista od wykopalisk:

— „...eji. Ubóstwo świata poetyckiego Anonima z Milo pozwala przypuszczać, że nie miał on następców i że...”

ERAZM

prostuujemy

W ostatnim ubiegłorocznym numerze „Odgłosów” pojawiło się nazwisko tłumacza noweli Awerzenki „Święto miłości”. Jest nim ADAM OCHOCKI.

przepraszamy

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

PAKT Z DIABŁEM

Dziś nikt oczywiście w diabła nie wierzy. W diabła jako osobowość. I słusznie. Demonologia podobnie jak astrologia należy już do przeżytych nierzeczy dawno w umysłach ludzkich reliktyw średniowiecza. W astrologię nie wierzymy, chociaż wiermy, że gwiazdy wpływają na życie w ogóle, a więc także i ludzkie na ziemi. Zależność aury ziemskiej od okresowo pojawiających się piam na słońcu nie ulega żadnej wątpliwości. Podobnie jest z demonologią. Nikt w nią nie wierzy, a jednak obecność zła na świecie nie ulega żadnej wątpliwości. Nie ma więc diabła jako osobowości, ale w obyczajach językowym pozostał diabeł jako abstrakcyjny symbol konkretnego zła.

To zło jest konkretne, bo dostrzegalne w każdej dziedzinie życia tak osobistego jak i zbiorowego, a wynika nie z jakichś transcendentnych źródeł, lecz z ludzkiej jeszcze niedoskonałości urządzonej rzeczywistości, z niedosłusznego ukształtowanego charakteru człowieka, z jego słabej woli, nieopanowania pierwotnych instynktów, nieujarzmionych impulsów dzikiej natury, niedowładów umysłu i serca. W tym przenośnym sensie istnienie diabła w naszej obecnej rzeczywistości jest czymś niewątpliwym. Ale i wzmożona walka z diablem na każdym polu jest dziś czymś niewątpliwym. Podczas, kiedy np. w średniowieczu poddawano się znu biernie, gdyż uważano je za siłę wyższą, siłę fatalną, spadającą na człowieka i na świat zrzadzeniem losu — to dziś walka ze złem należy do odruchu każdego normalnego człowieka.

Wielki Stefan Żeromski taką walkę nowoczesnego człowieka ze złem w sobie i w otaczającym go świecie nazwał symbolicznie „walką z szatanem”. Taki tytuł nosi właśnie jego trylogia powieściowa, poświęcona temu zagadnieniu. Inny znany pisarz, pierwszy w Polsce Ludowej minister kultury i sztuki, Władczy Rzymowski, zwalczając endecką ideologię Romana Dmowskiego i reakcyjne konsekwencje jego politycznej, opatrzył polemiczną rozprawkę o nim następującym tytułem: „Roman Dmowski — czci- cieł diabła”. W takim też symbolicznym znaczeniu należy rozumieć diabła, o jakim mówi w ostatnio wydanej u nas przez „Czytel- nika” swojej wielkiej powieści Tomasz Mann pt. „Doktor Faustus”. Diabeł według Manna to główne zło naszej epoki, nacjonalizm w zwyrodniałej formie faszyzmu, którego ob- jawem najbardziej potwornym, bo antyhumanistycznym i ludobójczym z założenia był hitlerizm. Nad niezwykle skomplikowa- nym zagadnieniem, dlaczego właśnie naród niemiecki, naród Goethego i Beethovena, był nosicielem tego zła, był kolebką tego diabła, działającego na zgnębienie całej ludzkości, zastanawia się w tej swojej tragicznej powieści będącej obrachunkiem z całym swoim życiem i życiem swojej epoki, Tomasz Mann. Jest to ostatnie, jakie znam, nowoczesne wykorzystanie w sztuce symbolicznego znaczenia nazwy diabła.

Czy tak nowoczesny i tak racjonalistycznie myślący pisarz, jak Tomasz

Mann, musiał, że tak powiem, w takiej właśnie konwencji ująć problem największego zła naszej epoki? Czy współczesne zło nie da się ująć i artystycznie zobrazować inaczej, niż tylko w tak — w gruncie rzeczy — anachronicznym symbolu średniowiecznego diabła? To prawda, że dla Tomasza Manna, który nie jest marksistą, zło hitlerizmu przekraczało w swych rozmiarach granice dostępnego mu rozumienia rzeczy, ale przecież w ogóle każde zło da się racjonalnie wytłumaczyć. Rzekomą niewytłumaczalność zła upatruje Tomasz Mann w jego przypadkowości. Adrian Leverkühn, bohater jego powieści, zaraża się przypadkiem syfilisem i stąd całe nieszczęście. Oczywiście jest to uogólniająca symbolizacja zarażenia się złem przez całe Niemcy. Ale kiedy? Czy w początkach naszego wieku, kiedy rozpoczyna się akcja powieści, czy też w zeszłym wieku za Bismarcka albo może w okresie reformacji, tak przeciw obłitym w herezjach typu diabolicznego, jak choćby ów wirtemberski medyk i alchemik Georg, z którego jeszcze za życia legenda zrobiła słynnego doktora Fausta, późniejszego bohatera wielu utworów literackich, a wśród nich arcydzieła Goethego?

Sądę, że nie to jest zadaniem powieści. Zadaniem jej, jak w ogóle wszelkiej sztuki, jest postawić problem, wzruszyć nim, rozbudzić wyobraźnię, wstrząsnąć sumieniem ludzkim. I to zadanie swoim dziełem Tomasz Mann spełnił. Reszta należy do historyków, socjologów, uczonych eksplorujących od rozmaitych dziedzin życia ludzkiego i jego fenomenów. Jedno jest pewne: jakkolwiek pakt z diablem zawsze się kończy, jak tego dowodzi powieść Tomasza Manna w przeciwieństwie do arcydzieła Goethego „Fausta”, straszną i hanbiącą księżkę tego, który ten pakt zawiera. Bez względu na to, czy to jest pojedynczy człowiek, czy zbiorowość, jak to widzieliśmy na przykładzie Niemiec.

W bardzo ciekawym komentarzu do swej powieści pt. „Jak powstał „Doktor Faustus” Tomasz Mann pisze obszernie o warunkach jej powstawania, o jej podkładzie autobiograficznym, zastanawiając się jeszcze raz nad niewytłumaczalnym dla niego fenomenem smiertelnej zarażenia i porażenia całego narodu przez garstkę wyrafinowanych zwyrodniałców faszystowskich. Oczywiście, że diabeł traktuje symbolicznie, aczkolwiek bardzo konkretnie.

Z okazji Nowego Roku chciałbym cierpliwym Czytelnikom tego odcinka życzyć, aby w dalszym swoim życiu najmniej zawierał paktów z diablem. Chyba, że z tym pocieszym i figlarnym tworem zartobliwym wyobraźni ludowej, zwanym diabełkiem. W tym nieszkodliwym sensie, a ku własnemu rozweeleniu, można sobie poczytać taką śmiechotliwą książkę, jak „Żywoty diabłów polskich” Witolda Bunkiewicza w edycji Wydawnictwa Poznańskiego i wspaniale wyposażoną graficznie książkę „Czarów i czarów polskich” Juliana Tuwima, wydaną przez „Czytel- nika”, a zawierającą wypisy z średniowiecznych i późniejszych dzieł demonologicznych i czarnoksiężskich.

Z okazji „Fausta“ O przemijaniu form rozważania

Aby nie było nieporozumień zaznaczam z góry: „Fausta“ w Operze Łódzkiej*) uważam za największe osiągnięcie tej ambitalnej placówki kulturalnej. Prawie rok temu, pisząc o jubileuszowym „Cyryliku“, okraśliłem tę inscenizację niemal w identyczny sposób. Ponieważ obie wypowiedzi są w miarę szczere i w miarę obiektywne wniosek nasuwa się tylko jeden i to bardzo jasny: 6 lat licząc sobie Opera Łódzka rozwija się i tylko patrzeć jak po uzyskaniu własnej sceny stanie się jedną z pierwszych w Polsce.

Skąd wobec tego w tytule „rozważania o przemijaniu“, narzucające od razu nastroj fatalizmu jeśli nie katastrofy? Rzecz jest wiadoma, że oper się nie pisze. Na palcach policzyć można te, które stworzone zostały w ostatnim, powiedzmy, 50-leciu w Polsce, a już na pewno do dwóch lub trzech ogranicza się liczba tych, które zdobyły sobie umiarkowane powodzenie. Czy choć jedna z nich trafiła do tzw. żelaznego repertuaru? Nie wydaje mi się, choć oczywiście można by nad tym dyskutować. Wyraźnym zatem, czy choć jedna z nich zdobyła sobie powodzenie przynajmniej dwukrotnie mniejsze od „Fausta“, „Cyrylika Sewilskiego“, „Carmen“ czy naszej narodowej „Halki“? Na pewno nie. Niewesołe to stwierdzenie nasuwa jeszcze jedną uwagę: nawet współcześnie tworzone opery nie są współczesne w treści. To znaczy, że ich akcja przebiega nie rozrywając się w czasach nam bliskich, że budowane są od wieków na tych samych zasadach, a zatem nie unikają sytuacji podobnych, jeśli nie niemal identycznych, mają te same słabe strony i zawsze wielką

ilość naiwności. Sceny operowe mając do dyspozycji słabe libretta z dobrą muzyką lub słabe libretta ze słabą muzyką wybierają te pierwsze, od dziesiątków lat powtarzając ten sam repertuar.

Opera jest już sędziwą staruszką — przynajmniej popularna i lubiana oraz doskonale się konserwująca. Tylko nie mogę uwierzyć, że stan ten trwać może jeszcze wiele dziesiątków lat, jeśli nie pojawi się ktoś bardzo wielki, ktoś kto będzie nam tworzył młode, nowe opery, a nie na to na razie nie wskazuje. Widz, chcąc nie tylko słyszeć, ale i widzieć, brać udział w akcji, już nie długo chyba pozwoli się oszukiwać, zbywać banałem, naiwnością i pływacznością. Istnieje jedno wyjście: powszechna umowa o traktowaniu opery jako gatunku twórczego w konwencji bałki. Przeszkadza tu jednak w decydujący sposób brak elementu dla bałki koniecznego — poezji. Bez nowości nie widzę przyszłości opery (widzę natomiast wieczną niemal trwałość arii operowych), bez solidnych, dobrych jako sztuki teatralne librett, nie widzę rosnącego powodzenia opery (choć wierzę w trwałość uwertur, chórów i myśli, że zawsze mogą być słuchane z estrady, na koncertach symfonicznych). Sądzę, że wielką przyszłość ma rodzaw się domero gatunek — opera radiowa. Dla mnóstwa ważnych powodów, choćby i tego, że widz nie musi patrzeć na umiarkowanie tylko śpiewać, a zupełnie nie umiarkowanie grać śpiewaka. O tej chronicznej (czyżby nieuleczalnej?) wadzie mówi się ciągle i dlatego nie ma potrzeby pisać na ten temat osobnego traktatu. Jest to jednak wada bardzo poważ-

na, a wypływająca, jak mi się zdaje, zarówno z tego, że śpiewak ma co śpiewać, a nie ma czego grać (grać, rzecz jasna w sensie scenicznym) jak i z tego, że chyba system kształcenia w konserwatorium unika starannie nauki gry scenicznej, lub że jest już mocno zwietrzały.

„Faust“ Gounoda najzupełniej słusznie zaliczany do pozycji „wielkiego repertuaru“, uważany jest za operę posiadającą tegie libretto. Sąd ten powstał na pewno bardzo dawno i dawno stracił swoją aktualność. Skupiają się w „Faustie“ te wszystkie wady, o których starałem się wyżej powiedzieć. Wystarczy tylko wyobrazić sobie, operowego „Fausta“ na scenie, nie śpiewanego ale mówionego, bez muzyki, aby wyraziło wszystko to, co piękna (chóry, fragmenty muzyki kościelnej, tyle arii!) muzyka stara się przykryć. Od początku łatwe do przewidzenia końcowe losy bohaterów: wiadomo, że Małgorzata ulegnie Faustowi, a potem stanie się nieszczęście, wiadomo, że Faust trafi do piekła, wiadomo, że dzielny Walentyn padnie z rąk Fausta, że będzie długo, brzydko, naturalistycznie umierał, do ostatniego tchu przeklinając swoją siostrę. Kontrast między jakością muzyki i słowami jest aż nadto wyraźny, aby o nim szerzej pisać. A więc wreszcie — jak to było w Łodzi?

Antoni Majak pięknie rozpoczął pierwszy sezon swojego kierownictwa artystycznego. Od razu wielką pozycją, wielką wystawną inscenizacją, ogromną pracowitością i pieczołowitością w przygotowaniu opery, ambitną próbą nieszlachetną, cehującą się troską o maksymalne udratowanie opery, reżyserii, no i oczywiście roli Mefista. Jeśli w ogóle może mieć zastrzeżenia do roli, to tylko to, że chwilami za długo trwała poza, trochę pomnikowa, trochę zbyt demoniczna. Antoniego Majaka śpiewającego Fausta słyszałem, bądź ze sceny, bądź z radia, wielokrotnie i sądę, że niewielu jest śpiewaków śpiewających te partie z taką głęboką kulturą. Próba udratowania „Fausta“ mogła się udać tylko w połowie — to znaczy w tych fragmentach, które można ożywić ruchem, zestawieniem grup chórów, i to się na pewno udało, co



Fot. G. Puciato
Antoni Majak (Mefisto) i Tadeusz Kopacki (Faust)

jest też w części zasługą interesującej, optycznie powiększającej scenę scenografi Ewy Soboltowej. Wszystkie te części, nawet nie wolne od typowo premierowych drobnych braków synchronizacji między orkiestrą (dyrygował M. Wojciechowski) a chórami, wypadły szczególnie imponująco. I to jest zresztą ogólne wrażenie z Fausta w Operze Łódzkiej — doskonałe, świetnie przygotowane chóry.

Z solistów nie zobaczyliśmy w pierwszej obsadzie Zofii Rudnickiej i Romualda Spychalskiego. Małgorzatę śpiewała Weronika Kuźmińska, Fausta — Tadeusz Kopacki. Udzwignięcie wielkiej i mocno zróżnicowanej

roli Małgorzaty jest na pewno dużą zasługą, szczególnie jeśli jest to zrobione z taką pewnością i lekkością, jak to zrobiła Kuźmińska; partia zaś „Fausta“ była dla mnie milym zaskoczeniem po niezbyt dokładnie sprecyzowanych wrażeniach, które odniosłem słuchając Kopackiego z estrady Filharmonii. Na uwagę również zasługuje Tadeusz Szynkarski jako Faust Stary, i jeszcze Stanisław Helmberger w roli Walentyna. To chyba najmniej wzięta partia w całym „Faustie“, a mimo to — wypada śpiewakowi szczerze pogratulować sukcesu.

Wróć jeszcze raz do re-

cenzi z „Cyrylika“. Nie wiedząc nic o planach repertuarowych Opery, wywróżyłem sobie wtedy właśnie wystawienie „Fausta“. Jak się styż, Henryk Czyż komponując operę opartą na librecie przygotowywanym przez Kazimierza Dejmka. Nazwiska gwarantują kawał muzyki i kawał dramatu. Może więc wywróże sobie i widzom na nowej scenie Opery Łódzkiej nową, wielką operę?

M. W.

*) Opera Łódzka „Faust“ C. Gounoda. Inszenizacja i reżyseria A. Majak. Kierownictwo muzyczne W. Ormicki, scenografia E. Soboltowa, choreografia F. Parnell. Premiera w listopadzie 1960 r.

Technika ante portas

(Dokończenie ze str. 1)

natarcia skupi się na: modernizacji, rekonstrukcji i stniejących zakładów, nowym budownictwie i na wprowadzaniu nowoczesnych technologii produkcji. Stan techniczny budynków i urządzeń fabrycznych jest niezadowalający, a w większości wypadków wręcz zły, park maszynowy — konstrukcyjnie przestarzały i nadmiernie zużyty, procesy technologiczne — w 75 proc. przestarzałe.

Co tu dużo mówić, program łódzkich techników zmierza do zmiany tego stanu rzeczy (m. in. poprzez zwiększenie i unowocześnienie krajowej produkcji maszyn włókienniczych, rozszerzenie bazy surowcowej dla „włókna“, wzrost produkcji i rozszerzenie asortymentu barwników i środków pomocniczych itp.) po to, aby:

* podnieść potencjał produkcyjny

* „dogodzić“ wreszcie klientom dając wzory le-

psze, ładniejsze, różnorodniejsze, trwalsze.

W BUDOWNICTWIE

— przewidują łódzcy technicy także duże zmiany. Wydużony kształt miasta ciągnącego się z północy na południe, niekorzystnie wpływa na warunki komunikacyjne i dlatego najbardziej będą „rosnąć“ w najbliższym czasie dzielnice położone na wschód i zachód od śródmieścia. W pięcioleciu wybuduje się ponad 80 tys. izb, do roku 1980 — 500 tys. Przeciętna zaludnienia na izbę spadnie z 1,94 do 1,15 osoby.

Wydatne skrócenie cyklu inwestycyjnego, zmniejszenie wielkości zatrudnienia i kosztów — to główne zadanie dla budownictwa. Wykonać je można — twierdzą technicy — jedynie po wprowadzeniu postępu technicznego w technologii wykonawstwa, w mechanizacji i w stosowaniu materiałów. W tłumaczeniu, na język laików, oznacza to szukanie nowych, szybszych, tańszych — a więc lepszych sposobów budowania. Technika i to wysoka, musi zawitać na budowy.

W KOMUNIKACJI

— kierunki działania na-

zuca centralne położenie miasta na obszarze kraju. Tutaj przewidywany jest m. in. główny węzeł dróg samochodowych. Do „załatwienia“ jest:

* ustalenie przebiegu autostrad w rejonie Łodzi i ich połączenie z układem sieci drogowej

* realizacja rozbudowy układu drogowego na terenie miasta, a szczególnie — arterii obwodowej po wschodniej stronie śródmieścia

* rozbudowa łódzkiego węzła kolejowego, oraz budowa nowych budynków dworcowych Łódź-Fabryczna i Łódź-Kaliska

W CIEPŁOWNICTWIE

— technicy uważają, że najbardziej palące opracowanie planu energetyzacji m. Łodzi (taki plan ma Warszawa, Gdańsk, musi mieć Łódź). Potrzeby i rozwój przemysłu, brak mocy elektrycznej oraz „zapotrzebowanie ciepła“ ze strony rozwijającego się nowego budownictwa mieszkaniowego — sprawiają, że konieczne trzeba pomyśleć o budowie nowych elektrociepłowni (w zamierzeniach — EC-III), rozbudowie sławnej w Łodzi — EC-II, i adaptacji starej elektrowni do większego zakresu.

„W WODZIE“

też pięć achillesowej Łodzi, technicy jako główne kierunki działania przewidują — obok lokalnych u-

jęć wody i dwu linii rurociągu Pilica — Łódź (które łącznie zapewnią miastu ok. 46 proc. zapotrzebowania na wodę), budowę odkrytego kanału Sulejów — Łódź.

„W OGÓLE“

— techniczne spojrzenie na Łódź na tym się nie kończy. Dla wszystkich innych przemysłów w mieście i działów gospodarki — (u pominiętych z braku miejsca — wierzcie czytelnicy — istnieją dokładne opracowania i koncepcje rozwoju. Na kongresie we Wrocławiu „techniczne spojrzenie na Łódź“ w formie dokładnego programu działania i takie samo „spojrzenie“ na województwo łódzkie zostanie przedstawione przez kilku ze 126 delegatów.

TECHNE — ZNACZY SZTUKA TECHNIKOS — KUNSTOWNY

Techniczne spojrzenie na Łódź nie omija samych techników, którzy również przenikliwie umiemy patrzeć na gospodarkę — jak i na własne „ja“.

Nie przypadkiem u źródła słowa technika i technika leży greckie „techné“ — sztuka i technikos — kunsztowny. Aby technicy mogli sprostać ogromnym

zadaniom, jakie stawia przed nimi właśnie technika, muszą doskonale swe umiejętności, tak by przerodziły się w kunszt, w sztukę.

Stale i systematyczne podnoszenie kwalifikacji, czynny stosunek do zagadnień techniki w ogóle, a w miejscu pracy — w szczególności — oto hasła, które mają przyswajać na dalszej „drodce życia“ łódzkim technikom.

Kierowanie gospodarką wymaga od techników „Jedynie“ wiedzy technicznej, ekonomicznej, organizacyjnej oraz wiedzy o człowieku — psychologii, socjologii, fizjologii. Aby być „na etapie“ trzeba właściwie praktycznie, nie roztawać się z książką. Z braku tych wiedz (od wiedzy) bowiem — „podjęcie decyzji będą zawsze niedostatecznie uzasadnione i trafne“.

Technicy Łodzi z myślą o sobie i swoich następcach doszli więc do wniosku:

* że wykształcenie, za które otrzymuje się dyplom jest pierwszym krokiem do zdobycia pełnych kwalifikacji zawodowych. Drugim i długim — winno być nieustanne dokształcanie po-dyplomowe (w związku z

tym postuluje się zmiany w stażu pracy i praktykach, absolwentów, korzystanie z różnego rodzaju kursów itp.)

* że na wszystkie uczelnie techniczne musi zawiązać ekonomia i nauki z dziedziny organizacji i kierownictwa.

* że tzw. czynnik ludzki musi być respektowany na uczelniach technicznych i ekonomicznych poprzez wprowadzenie wykładów z psychologii, fizjologii i socjologii.

SMAK WSPÓŁCZESNOŚCI

Technika stoi u wrót. Krok po kroku zacznie wkraczać w nasze życie — wraz z realizacją planów gospodarczych, które są „utechnicznione“ jak nigdy. Przyniesie ze sobą smak współczesności i wysokiej cywilizacji.

Produkty cywilizacji to nie tylko zaspokojenie praktycznych potrzeb — to nowa, ostrzejsza polska życia. W oszklonym blasku gazów, przenikającym świat nowej użyteczności, poczuje swoje „jestem“. Stanie się Pani natychmiast tematem wspólnym; szkliste substancje, syntetyczne masy, metale, tergal i plastik odmłodzą Panią, upłynnią Pani gesty“.

Te słowa autora „Listów do pani Z.“ — już niedługo będzie można przytaczać w czasie teraźniejszym.

IRENA DRYLL

str. 8 **odpisy**



Dzieje łódzkich fortun (IV)

W początkach 1893 roku Ludwik Geyer mógł już domnieć Głównemu Dyrektorowi w Komisji Rządowej o puszczaniu w ruch pierwszej części przedziału. Cała jednak przedziałnia i tkalnia uruchomione zostały dopiero 1 listopada 1840 roku. Geyer musiał sporo się namęczyć nim zmontowano mu maszyny, na których nikt w Łodzi się przecież nie znał. Co tu mówić o montażu, jeśli eksperci rządowi nie potrafili nawet wycenić maszyn parowej pana Geyera! Musi więc Ludwik Geyer sprowadzić fachowców zagranicznych i pod ich okiem robotnicy nieraz po trzykroć składali i znów rozbierali na nowo, bo wciąż nie pasowały jak należy. Zadaniem fachowców zagranicznych było nie tylko dopilnować montażu, ale i nauczyć ludzi obsługiwać uruchomione warsztaty. W pierwszym roku jeszcze nie wszystko szło dobrze, bo koszt produkcji perkalu kształtował się dwukrotnie wyżej niż w późniejszych latach, ale najcięższe chwile miał Ludwik Geyer już poza sobą.

Szkoda, że w tym czasie nie było już w Łodzi ławnika Siewierskiego (przeniesiono go z powrotem do urzędu policyjnego w Gostyninie), mógłby mu teraz p. Geyer zagrać na nosie. Bo też co niemiara krwi napisał mu ten Siewierski! Przez niego burmistrz Tangermann wyważył go na śledztwo, a to przecież nie należy do przyjemności.

Dzisiaj sporo architektów zachwycą się prostotą linii, szlachetnością kształtów fabryki Geyera, która bardziej przypomina z zewnątrz pałac niż fabrykę. 135 lat temu budowniczy Bethier nie podzielał tych zachwytów, wręcz przeciwnie, gdy Geyer nie przedstawił mu ogólnego planu, kazał budowę wstrzymać. Geyer nie mógł takiego planu przedstawić — tak przynajmniej twierdził, gdyż jego maszyny jeszcze nie nadeszły z Niderlandów, ślad nie znał jeszcze ostatecznych wymiarów poszczególnych hal. Od siebie powiedzmy, że pan Geyer nie był zbyt szanował przepisy. W tym wypadku zachowywał się nie jak rodowity Niemiec, a miał wyraźne ciągotki słowiańskie.

Była jednak dogodna do budowy pora roku i Geyer nie przerywał dalszej pracy na rozpoczętych fundamentach. Wywołało to protesty budowniczego Bethiera, burmistrza i niedawno przybyłego do Łodzi z Gostynina ławnika czynnego, niejakiego Józefa Siewierskiego.

Nie wiemy, czym pan Geyer naraził się Siewierskiemu, w każdym razie ten ostatni przyszedł kiedyś do osady Łódki gdzie nieopodal mostu nad Jasienią majster Lebelt murował fundamenty pod przedziałnię Geyerowską.

Jak później świadkowie przyznawali, Siewierski był diłgany i kazał Geyerowi przerwać pracę, Geyer kazał go z budowy wyrzucić. Ławnik przywołał sobie wówczas na świadka nauczyciela Solmsa i wraz z nim udał się do mieszkania Geyera. Nim jednak zdolał wytłumaczyć, po co przyszedł, Geyer wziął ich za kark i wyrzucił. A zza drzwi wypadli ludzie geyerowscy z kijami, którzy pod przewodnictwem

buchaltera Geyera, Merkleima, pędzili ich aż do traktu piotrkowskiego. Sam zaś Geyer miał stać w drzwiach i krzyżeć — co później znalazło się w protokole zeznań przed burmistrzem: „bijcie tych ichmościów, a ja za to zapłacę”. Obietnica ta musiała dobrze poskutkować, bo w biurze burmistrza Tangermanna panowie Siewierski i Solms, przedstawili później wyniki obdukcji lekarskiej, świadczące, że zostali solidnie obici.

Ławnik to osoba urzędowa, został pobity w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Burmistrz Tangermann, chociaż nie darzył sympatią Siewierskiego, był zmuszony wytoczyć śledztwo.

Alle Geyer bronił się bardzo zęcznie. W jego oświad-

Burmistrz Tangermann nie był zadowolony ze współpracy z Siewierskim i w raporcie do władz wyższych pisał nawet, że „wduje się (Siewierski) w interesy do jego atrybucji nie należące, bez zniszczenia się w podpiśnięm, przywłaszczając sobie władzę zupełnie odrębną”.

Siewierski zaczął się mścić teraz na Geyerze. Pisał więc raport za raportem, denuncjując, że Geyer dalej buduje, donosząc o jego nieuległości dla władzy.

Nie oszczędzał sam siebie, był pełen poświęcenia, gdyż któregoś dnia zanotował o godzinie kwadrans na piątą z rana „iż pan Geyer... jak zawsze o godzinie 4 z rana rozpoczął wzrost budowy zakazanej mu na teraz”.

że „każdy z robotników jest tylko kółkiem, sprężyną, częścią wielkiej całości fabrycznej”.

Nie wczuwał się jednak w połączenie tej „części”, która pracowała 14 i 16 godzin dziennie w niskich, trudnych do przewietrzenia, salach fabrycznych, w których panowało straszliwe zimno lub upał.

19 stycznia 1838 roku starsi Zgromadzenia Tkackiego w Łodzi August Hüttman oraz August Frentzel zwrócili się do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego z prośbą o wydanie zakazu Ludwikowi Geyerowi urządzania tkalni mechanicznej. Wkrótce potem zaprotestowali tkacze pabianicy, którzy między innymi w ten sposób pisali: „Przyjdą jeszcze do tego wymienione machiny do skutku, wtedy tkacze wszyscy żebrakami się staną”.

Na skutek tych protestów komisarz obwodu łęczyckiego Radwan polecił burmistrzowi łódzkiemu, aby zebrał w swoim biurze starszych Zgromadzenia Tkackiego oraz poprosił samego pana Geyera i by po wysłuchaniu obu stron, powziął sprawiedliwa postanowienie. Odbył się ten osobliwy sąd

w nich przyczynę swej nędzy.

PIERWSZY OBYWATEL ŁODZI

W 1841 roku Rada Administracyjna Królestwa „w Imieniu Najjaśniejszego Mikołaja I, Cesarza Wszech Rosyi i Króla Polskiego” wyniosła Łódź do rzędu miast gubernialnych. Z tego powodu odbyła się w Łodzi z wielką pompą celebrowana uroczystość, rozpoczęła o 6 rano dzwonieniem w obu kościołach. W 2 godziny później dwóch policjantów na koniach, poprzedzonych trębaczami, ogłasza wszem i wobec, że wszyscy mieszkający oraz cechy z choroągami mają się zgromadzić o 10 przed ratuszem.

Po ogłoszeniu w języku polskim i niemieckim zebrany tłum przed ratuszem radcoś wieści, Komisarz Obwodu z całym składem dotychczasowego Urzędu Miejskiego i wraz „ze znakomitymi obywatelami” udał się do sądu ratuszowego. Wśród „znakomitych obywateli” znajduje się oczywiście i Ludwik Geyer. Za chwilę właśnie zostanie wybrany radnym honorowym i złoży Jego Cesarsko-Królewskiej Mości przysięgę na wierność.

W 1840 roku, kiedy ru-

prace bezrobotnych po rubli i 35 kopiejek tygodniowo. We wspomnianym ogłoszeniu Geyer proponował płacę 1,55 tygodniowo i to niewykwalifikowanym pracownikom. No ale wtedy nie było kryzysu. Trzeba umieć wykorzystać sytuację.

Tymczasem pan Geyer rósł już nie tylko w bogactwo, ale w sławę i zaszczyty. Jeszcze w maju 1839 roku wysłał próbki przędzy, wyrobionej na nowo sprowadzonych maszynach na wielką wystawę publiczną w Petersburgu. Przędza musiała się spodobać, skoro za nią właśnie... zawieszono panu Geyerowi na szyi Złoty Medal na wstępie Orderu św. Anny.

W 1844 roku znowu na skutek sukcesów odniesionych przez Geyera na wystawie w Moskwie zezwolono mu na używanie herbu państwa na szydach i wyrobach swej fabryki. Był to zaszczyt bardzo duży.

Na wystawie moskiewskiej wyroby Geyera nie miały podanych cen, bo jeszcze ciągle fabrykant Królestwa nie mógł wyrobów bawlińskich eksportować do Rosji, ale perkalki pana Geyera zdobyły sobie świetną markę na rynku królowym.

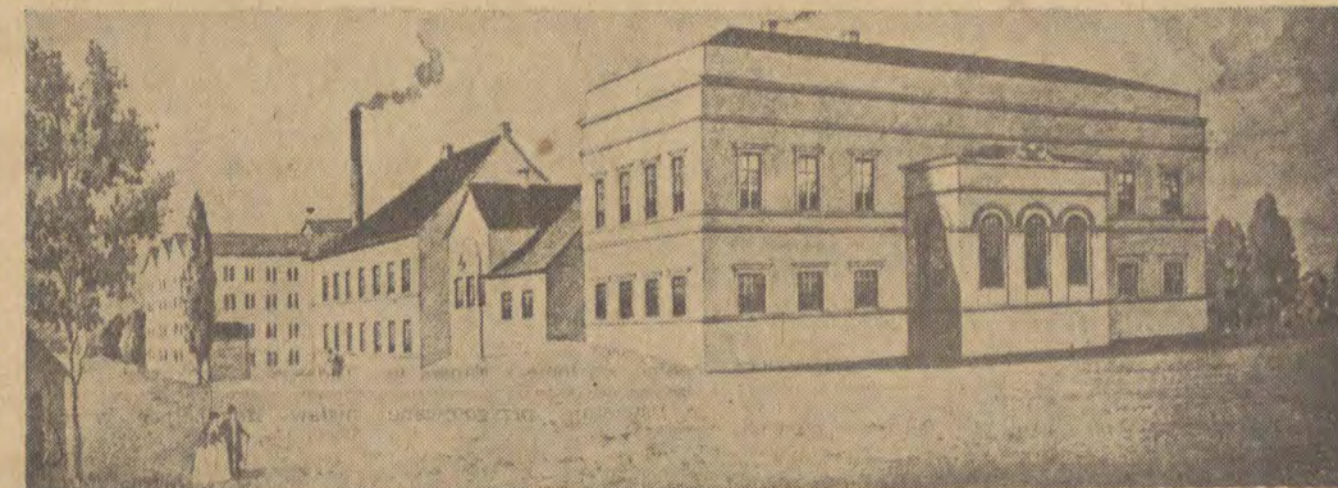
Interesa szły dobrze, wypadało więc, by pan Geyer jako „pierwszy obywatel miasta” jak sam siebie nazywał w różnych listach do władz, zajął się trochę, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, pracą społeczną.

W 1843 roku Geyer wspólnie z rentierem Siebertem łożyli w „Łódzki Männer-Gesang Verein”, dla krzewienia pieśni niemieckich, dla którego wynajmął p. Geyer nawet nauczyciela „brywalnego”. Była to druga z kolei organizacja w Łodzi po Towarzystwie Strzeleckim, założonym w Łodzi wraz z przybyciem osadników niemieckich. Rok później bowiem, zwyciężając niemieckim, podczas Zielonych Świąt na Wodnym Rynku odbywały się zawody w strzelaniu do tarczy i ptaka. Tłumy gromadziły się na Wodnym Rynku, aby z entuzjazmem powitać króla kurkowego, którym zostawał zwycięzca. Ludwik Geyer odbiegał już jednak od zwyczajów swych niemieckich ziomków, strzelanie nie bawiło go. W wykazie króli kurkowych na próżno byśmy go szukali. Jego hobby natomiast to jazda konna, rzecz podpatrzona raczej u okolicznych polskich ziemian. Ile razy był też w Warszawie wpadał na Służewiec na wycieczkę, trochę sobie popatrzyć jak koniki biegają no i... pograżać. Swoje ho by pan Geyer traktował jednak poważnie, gdyż był członkiem „Towarzystwa Wycieczek Konnych i Wystaw Zwierząt Gospodarskich”, gdzie opłacał nawet 15 rubli składki rocznej.

Pisywał też pan Geyer różne korespondencje do gazet niemieckich na Śląsku. Interesował się teatrem, bo w jego to właśnie sali fabrycznej wystąpił w 1846 roku zespół Pietrzykowskiego, jednego z pierwszych polskich trup teatralnych, jaka zawitała do Łodzi.

Miał też Ludwik Geyer mnóstwo pomysłów i inicjatyw, które współczesnym mu wydały się nieraz wręcz fantastyczne. To on wysłał trzęsież do władz długi memoriał w sprawie budowy odnogi kolei z Łodzi do stacji kolei warszawsko-wiedeńskiej Baby przez Rudę Pabianicką, Rzęwów i Tuszyń. Było to w 1852 roku i nie z tego na razie nie wyszło, bo dopiero w 1866 roku ruszył z Łodzi pociąg nie do Baby — jak proponował Geyer, a do Kozuszek. Z innych projektów wymienimy jeszcze memoriał Ludwika Geyera w sprawie... eksploatacji Kaukazu. Ludwik Geyer chciał założyć tam plantacje bawełny. Było to już jednak wówczas, gdy Zakładom Ludwika Geyera grzola nieuchronna klęska.

„ŁODZERMENSCH“



Widok zakładów w roku 1853

czeniu sprawa wyglądała zgola inaczej: W dniu dzisiejszym z rana przybył do mej stancji człowiek mi nieznan i mocno pijany wraz z nauczycielem Solmsem niestrzeżym, ten pierwszy wziął do ręki flecik i tym przeciwko mojemu buchalterowi, nazwiskiem Potempa, fechtować zaczął, nie mogąc ścierpieć niedorzeczności osób... aby uniknąć nieprzyjemności uważając na ich niestrzeżność za drzwi wyprowadziłem, wszakże nie uderzywszy żadnego z nich”. I konkludował Geyer: „Mówiąc zaś, że gdyby był znał i wiedział, że wyprowadzony przeze mnie za drzwi jest



Ławnikiem Czynnym, zaręczam że bym tego nie uczynił — wszakże jako początkowo będący i niewiele osobom znany okazać powinien uniform, że jest urzędnikiem, a wtenczas podobna nieprzyjemność by go nie spotkała, chociażby nawet był pijanym”.

Buchalter Merkleim i Potempa oczywiście w pełni potwierdzili zeznania pana Geyera, przy czym ten pierwszy podał nawet pikantny szczegół, że Siewierski obalił go na ziemię, a Solms korzystając z tego, ugryzł go w palec”.

Nie otrzymał ławnik Siewierski żądanej satysfakcji,

Dzięki nadgorliwości Siewierskiego dowiadujemy się nie tylko o porze rozpoczęcia pracy u Ludwika Geyera, a i o tym, że budując przedziałnię, nie przestępował i świąt kościelnych.

Z pogrózek ławnika Siewierskiego nie sobie jednak pan Geyer nie robił. Gdy władze miejscowe zbyt mu już dokuczały, jechał do Warszawy, i tam swoje sprawy załatwiał. Zresztą niedługo potem Siewierski został odwołany.

Znaczenie gorszą miał przeprawę Geyera z tkaczami. Nie dało się przecież długo utrzymać w tajemnicy faktu, że oprócz maszyn przedziałniczych na wozach z Nieszwycy jadą również samotkackie warsztaty. Tkacze, którzy początkowo cieszyli się, że z przędzy geyerowskiej będą mogli tkąć perkal, popadli w przerażenie. Ich położenie było przecież i tak nie do pozazdroszczenia. Drobnym tkacz z braku funduszy zmuszony był nabywać potrzebny mu surowiec na kredyt, płacąc za to sutym procentem, — by po przetworzeniu go oddać znów jako gotowy materiał pośrednikowi, który po potrąceniu długu wypłacał drobne już tylko kwoty, wynoszące bowiem od 6 do 7 złotych i 15 groszy polskich. Taką to kwotę starczyć miała na wyżywienie siebie i rodziny, przez cały tydzień. Ale byli jeszcze „wolnymi werberami”, „fabrykantami” — szanowanymi obywatelami miasta, posiadającymi własną organizację cechową. Teraz groziła im ruina, albo praca w fabryce Geyera.

Oskar Flatt, historyk Łodzi z roku 1853 pisał o fabryce Geyera zachwycał się,

19 sierpnia 1839 roku. Pano- wie August Hüttman i August Frentzel zeznali do protokółu, iż 180 warsztatów tkackich Geyera nie tylko zaspokoił potrzeby jego własnej drukarni, lecz uruchamiając je stanie się nakładcą (liwerantem) dla wszystkich miejscowych i okolicznych tkaczy. Poza tym pan Geyer do obsługi 10 warsztatów poruszanych parą będzie potrzebował tylko jednego człowieka, przez co tak obniży cenę perkalu surowego, że to ich zupełnie zrujnuje. A przecież „pan Geyer jednym swoim zakładem miasta nie załudni, ani też wzrostu owegoż nadal zapewnić nie może, owszem do jego zmniejszenia znacznie się przyczyni, bowiem większa część pojedynczych fabrykantów, przewidując jawny upadek, dla polepszenia swego bytu... tutejsze miasto opuścić będzie zmuszone...”

Wezwany z kolei na przesłuchanie Ludwik Geyer zaprzeczył, że ma on na celu polepszenie ich bytu, tzn. tkaczy, którzy będą mogli znaleźć zatrudnienie w jego fabryce, gdzie będą mieli lepsze warunki niż przy samodzielnej produkcji.

Urząd Muncypalny w osobach: burmistrza Tangermanna i ławników Traegera, Czaplńskiego i Otto, po wysłuchaniu tkaczy i Ludwika Geyera ogłosił wyrok. Jak można było przypuszczać potępił tkaczy, ale mało tego: postanowił „aby Starsi Cechu z swą reklamacją, tak bezzasadną i jedynie z nienawiści i zazdrości pochodzącą usunięci zostali”.

Upłynęło jeszcze 23 lata, nim zrozpaczeni tkacze pójda rozbijać maszyny, upatrując

szyły maszyny pana Geyera, Łódź liczyła 20.150 mieszkańców, w 9 lat później już tylko 15.565. Oczywiście, stało się tak nie tylko za sprawą maszyn Ludwika



Geyera, ale było związane z ogólnym przesileniem ekonomicznym, które uderzyło w biedaków.

Przedstawiciele tego samego Zgromadzenia Tkaczy, które w 1838 roku tyle krwi napisało panu Geyerowi, teraz podczas kryzysu w 1845 roku przyszło do niego prosić o łaskę. Wybuchło bowiem szalone bezrobocie, tysiące warsztatów tkackich stało bezczynne, a tkacze i ich rodziny nie mieli co jeść. W 1839 roku Ludwik Geyer musiał dać ogłoszenie w Gazecie Rządowej Królestwa Polskiego, że poszukuje aż 180 dziewcząt do pracy, bo tkacze nie chcieli pracować u niego, teraz błagali go o zorganizowanie dla nich nakładu. Chcieli pracować na jego przędzy, na jego rachunek, za jakąkolwiek stawkę. Dobrze, Ludwik Geyer nie jest przecież taki zawzięty, wszedł nawet do komitetu filantropijnego, zorganizowanego przez władze miejskie, ale płacić dużo nie będzie. Majstrom, na przykład, dozorującym

Radzimy obejrzeć:

Ponieważ nie znamy jeszcze programu na najbliższe dni, czytelnikom radzimy obejrzeć co następuje...



...a Telewizję prosimy o pamięć, że obok Bardotki również baler stanowi nasze hobby.



Smutny i wesoły remanent

poświęteczny

W myśl staropolskiej zasady „zastaw się, a postaw się” TV zrobiła wszystko, aby świąteczni goście byli zadowoleni. Program był obfity, trwał długo w noc, ba, obok świeżych dań zawierał również atrakcyjne konserwy — „Nauczyciel tańca” z Filipem i Flapem, przedwojenny film polski „Ada to nie wypada” z samym Zbyszewskim, czy nawet archiwalny film niemiecki wpieciony w „Świąteczną biesiadę”.

Goście wyszli obżarci i chyba zadowoleni — mówię „chiba”, albowiem również w naszym narodowym stylu leży „obszczerkanie” uczynnego gospodarza...

Cóż zobaczyliśmy? Statystycznie rzecz biorąc w przeciągu trzech dni mieliśmy ponad 27 godzin programu (przy czym w niedzielę ponad 12) i to programu — o zachwycie! — zaskakującego zgodnego z zapowiedziami z dni ostatnich, a więc z zapowiedziami prasy codziennej.

Z tych 27 godzin 12 zajęły filmy (pełno, średnio i krótkometrażowe, przy czym nie uwzględniam tu wstawek do „Świątecznej biesiady”, serwisu informacyjnego „Dziennika telewizyjnego”, serwisu sportowego itp.).

Tradycyjne formy telewizyjne jak to „Dziennik”, „Pegaz”, „Tele-Echo”, zapowiedzi programowe, muzyka w czasie krótkich przerw i tak dalej też zajęły ładny kawałek czasu, tak że w rezultacie na oryginalne inscenizacje telewizyjne pozostało 11 godzin, przy czym kierując się dość dowolną zasadą, do owych „oryginalnych inscenizacji” zaliczam oba teleturnieje, a nie zaliczam na przykład recitalu Hesse-Bukowskiej.

Jeżeli pójdziemy jeszcze da-

lej i wykreśliśmy z naszej listy oba teleturnieje, otrzymamy następujące pozycje:

nie najlepsze (straszne sytki w tekście) przedstawienie „Siołów panieńskich” w Teatrze Telewizji (Warszawa);

bogata głównie atrakcyjnymi wstawkami filmowymi „Świąteczna biesiada” (Poznań);

chyba udane widowisko kielkowie dla dzieci „Na jagody” wg Marii Konopnickiej (Warszawa);

nieświeżo przeniesione na mały ekran nieświeżego wielkiego spektaklu mocno nieświeżego operetki „Bajadera” (Katowice);

„Miś z okienka” (Warszawa); znakomity balet dziecięcy (Warszawa);

„Estrada poetyczna” — wiersze Jana Kasprówicza, podane chyba ciekawie (Łódź);

program rozrywkowy z cyklu „Co kto lubi” (Warszawa).

Koniec wyliczeń. Jeżeli dodamy do tego „Prezenty gwiazd-kowe kaczora Donalda” i „Klub myśli Miki”. Jeżeli dodamy „Gościela z zaświatów” i „Chcę być gwiazdą” jako dwa mocno „wieczorowe” filmy pełnego metrażu, odcinki sensacyjnego filmu dla młodzieży „Kradzione nie tuczy”, film kryminalny z cyklu „Cztery sprawiedliwi” i sensacyjny „Piątka z Wyspy Skarbow” — co otrzymamy?

Otrzymamy proponowany nam przez TV model programu świątecznego: dużo, bardzo dużo atrakcyjnych pozycji dla dzieci, żeby dorośli mogli spokojnie pić wódkę i sporo po-

zycji skrajnie rozrywkowych, żeby dorośli mogli dobrze trawić.

Ani nie potępiam, ani nie pochwalam tej propozycji. Różni na filmie z Filipem i Flapem, emocjonowałem się na licznych „kryminalach” i trawiłem dobrze. Ale jeżeli ktoś zapyta mnie za tydzień, co oglądałem w święta, powiem uczciwie: nie wiem, co tam jednak oglądałem. I jeżeli Telewizji chodziło właśnie o to — szczerze gratuluje.

Oto wniosek pierwszy.

Wniosek drugi wyczytali już chyba wszyscy między wierszami — okazało się, po raz nie wiem już który, że najnowocześniejsze w Polsce łódzkie studio telewizyjne było w czasie świąt potrzebne li tylko do zmontowania Estrady Poetyckiej, kiedy i laik się orientuje że pozycje tego typu można nadać z każdego studia.

I po raz nie wiem który było nam markotno z tego powodu. Bo, albo Warszawa dyskryminuje Łódź, albo też Łódź nie umie przedstawić Warszawie odpowiednio atrakcyjnych propozycji. Oba z tych wniosków prowadzą do wniosku ostatecznego. Coś trzeba zmienić. Tylko co?

JERZY PANASEWICZ



P.S. Również i w programie noworocznym — sądząc z zapowiedzi „Radia i Telewizji” (piszemy to przed Sylwestrem) — Łódź nie została uwzględniona. Badażże ona nada właśnie „Noworoczną biesiadę” i to wszystko, jeżeli nie liczyć lokalnej „Składanki sylwestrowej”.

J. P.



Warto przeczytać

Na półkach księgarń ukazała się niewielka książeczka Wydawnictwa Łódzkiego nosząca skromny tytuł „5 X debiut”. Jest to wspólny debiut poetki pięciu łódzkich autorów: Stanisława Cieślaka, Włodzimierza Kryśńskiego, Marka Wawrzewicza, Józefa H. Wiśniewskiego i Eugeniusza Zarzyckiego.

Zbiorek jest bardzo ciekawy i w bibliotece każdego miłośnika poezji nie powinno go brakować. Nakład mały, bo zaledwie 700 egzemplarzy. Cena 12 zł.

Jak uważnym czytelniku-

Znów łodzianin

W tece karykatur Andrzeja Stopki znalazł się znów łodzianin. Niedawno w „Życiu Literackim” mieliśmy okazję ujrzeć wdo-bną świetnego aktora Teatru Nowego Seweryna Butryma. Kto ją przeoczył w krakowskim tygodniku, może ją sobie obejrzeć w „Odgłosach”. Oto Seweryn Butrym.



U bibliofilów...

Pisaliśmy w swoim czasie o wznowieniu działalności Mazowsza są poważną i — jak słychać — niezwykle potrzebną pracą naukową. Toteż nie zalecamy wcale członkini tego Towarzystwa — specjalistka w dziedzinie znaków papierniczych p. Jadwiga Siniarska-Czaplińska wydała pracę pt. „Znaki wodne papierni Mazowsza 1750—1850”. W pracy naukowej. Mamy nadzieję, że dzięki działalności wydawniczej Towarzystwa Bibliofilów otrzymamy jeszcze niejedną cenną pozycję.

Nasz konkursik

Niedawno niniejsza rubryka kulturalna obchodziła małe jubileusz. Otóż minął rok, kiedy po raz pierwszy rozpoczęliśmy na łamach „Odgłosów” systematycznie odpowiadanie na pytania i problemy kulturalne Łodzi. Ponieważ wydajemy nam się, że dotychczasowy tytuł „Kupić nie kupić” jest zbyt mało adekwatny do zawartości te-

Podarunek świąteczny

Z miłym i sympatycznym podarunkiem świątecznym dla pacjentów szpitala im. Babńskiego wystąpiły zakłady Ceramiki w Andrespolu.

Czyż zespół tych zakładów byłoby najgorzej, gdyby i w uroczysty występ (chór, balet) „Krakowskie wesele”, stąpiły czasem z podobną inicjatywą.

Redaguje Zespół o Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” o Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 344-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,—, kwartalnie zł 12,—. Redakcja nie zwraca ostatecznych nadesłanych nie zwraca o Prenumeratę, przyjmując wszystkie ostateczności pocztowe. Istnieje także PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” o Druk: RSW Prasa — Łódź, Zwirki 17. o Zam. 1047. I. 1981 r. L-4

Historia z myszką

(dokończenie)



Disney urodził się w roku 1901 w Chicago. Od młodych lat interesował się teatrem i każdą wolną chwilę poświęcał teatrzyłom amator-skiemu. Wcześniej uczył się także do akademii sztuk pięknych, gdzie doskonalił rysunek. Ma lat 17, kiedy jako kierowca sanitarki jeździł po frontach Europy. Jego wóz od chłodu chronił go tablica z numerami, jest pokryty śmieś-



my rysunkami. Po wojnie pracuje w Kansas City w biurze reklam. Maluje maszyny rolnicze. Interesuje go jednak kino. Przecodziwicie do innej firmy reklamowej, operującej w salach kinowych. Tu wpadł na myśl realizowania filmów reklamowych przy pomocy starych kamer, ofiarowanej mu przez szefa. Pierwszy film osnuty był na aktualnościach z Kansas City. Drugim był już „Czerwony kapturek” (1920). Na razie same sukcesy. No i w końcu na ekrany wkracza mała myszka Mickey-Mouse. Wchodzi w chwilę, gdy całe Stany mówią o sukcesie filmu dźwiękowego „Sunny Boy”. Pierwszy film dźwiękowy Disneya „Wielki parowóz” (1928) trudno było w tej sytuacji sprzedać. Disney nie ugiął się i parę miesięcy później Mickey ruszyła na podbój świata. W okresie lat 1928—31 jego wytwórnia nakręciła 90 filmów o przygodach małej bohaterki. A w trzy lata później zrealizowany

był już w kolorach pełnometrażowy film „Trzy małe świnki”.

Pewien dyplomata radziecki powiedział, że Disney jest jedynym kapitalistą, którego czcili będą dzieci całego świata. W istocie Disney jest dziś wielkim kapitalistą; właścicielem wytwórni filmów zatrudniającej tysiące ludzi, cały sztab artystów gag-manów, techników, muzyków. Przy tym wszystkim jest on człowiekiem skromnym. Nie uważa się za specjalnie uzdolnionego artystycznie i nie posiada — jak mówi — w tym kierunku specjalnych aspiracji. Potęgą jego twórczości polega, jak się zdaje, na oryginalnej zdolności widzenia obrazów zarówno oczami dorosłego jak i oczami dziecka oraz dostrzeganiu w każdym stworzeniu indywidualności i wyrażenia jej za pomocą skrótu rysunkowego. Ktoś powiedział, że jego zające i wiewiórki zachowują się tak jakby się zachowywały gdyby mogły. Maja one ludzkie cechy i za to kochamy je tym więcej. To właśnie jest intencja bajek. Te filmy Disneya dalekie od improwizacji, mają jednocześnie cały urok i lekkość improwizacji. Disney stworzył zupełnie nowy rodzaj artystycznej tan-tacji. Wszystko co było dotychczas w historii filmu rysunkowego usunął w cień.

Opr. A. W.





— Bez słów



— A właśnie, że ja miałem pierwszeństwo przejazdu!...



— Gdzie ja jestem?



— Bez słów

Najostrzejsze ołówki świata

Karykaturzyści amerykańscy powoli odrzucają skomplikowane chwytaki makabreski, czystego nonsensu, dowcipu „z zawieszaniem”, nawet sławny Charles Addams przeszedł do „Strasznej rodziny”.

W tej sytuacji doszli do głosu i popularności karykaturzyści, pozostający dotąd w cieniu bardziej wyrafinowanych mistrzów. Mischa Richter — oto jeden z dotychczas zapoznanych humorystów, choć rysuje od blisko 20 lat, zasłynął do-

piero niedawno. Sukcesy ma niebagatelne — że wspomnieć choćby półmilionowy nakład tomu żartów „The man on the couch”.

Żartu Richtera — jak się zdaje — niegdyś powstały nigdy za biurkiem. Ich stały temat — to codzienność, bohaterami są ludzie z konkretnego miasta i ulicy, ludzie zawsze określonego zawodu. Co prawda — przeżywają oni przygody raczej wyjątkowe — lecz to właśnie określa mechanizm komizmu dowcipów Richtera.

Odnosi się wrażenie, że materiał do pomysłów dostarcza Richterowi kronika wypadków jakiegoś wielkomiejskiego dziennika, albo czasem rubryka „miechów” p. n. „nieprawdopodobne lecz prawdziwe”. To wszystko, co pokazuje nam humorysta, oczywiście nie musi być, lecz mogło się zdarzyć.

Ten typ humoru (używamy cudzośliwu: „realistyczne”) jest chyba szczególnie bliski także upodobaniom odbiorcy w Polsce, gdzie zawile formy makabreski i absurdu nigdy się na dobre nie przyjęły.

(JERT)

MISCHA RICHTER

38 mld. km — czyli moralność i astronautyka

Listopadowy numer literacko-artystycznego tygodnika paryskiego „Arts” przynosi niezwykle interesujący artykuł sławnego uczonego angielskiego Bertranda Russella, twórcy teorii poznania opartej na matematyce, postępowego myśliciela, który w swej filozofii społecznej wypowiadał się przeciwko prywatnej własności środków produkcji, autora szeregu wybitnych dzieł naukowych oraz prac popularyzatorskich, z których w szczególności jedna, „Małżeństwo i moralność”, przełożone przed wojną na język polski, cieszyło się u nas dużą poczytnością.

Omawiany artykuł o dość trudnym do dosłownego przetłumaczenia tytule „L'humanisme dans un univers en expansion” (co można by przetłumaczyć jako „Humanizm a podbój wszechświata”) warto zrelacjonować szerzej ze względu na wagę poruszanych w nim problemów.

Osiągnięcia wiedzy współczesnej podważają, zdaniem Bertranda Russella, same zasady tradycyjnej moralności w świecie w którym nawet szybkość światła przestała być wielkością niewzruszoną.

Według teorii przyjętej przez większość astronomów, wszechświat znajduje się w stanie ciągłej ekspansji. To, co nie przebywa z nami, tuż szybkością przyspieszoną przy nas, oddala się od nas z proporcjonalnie do odległości (im dalsza odległość, tym większe przyspieszenie). Rzeczniczy tej teorii twierdzą, że najbardziej oddalone od nas części wszechświata znikają w sferach niewidzialnych, po nieważ odsuwają się od nas z szybkością większą niż szybkość światła. Jeżeli nawet ta teoria nie wytrzyma próby czasu odnośnie wszechświata fizycznego, to Russell nie wątpi, że w jej słuszność odnośnie naszego świata wyobraźniowego. Ci, którzy zatrzymali się przy tradycyjnej dawnej wizji wszechświata, muszą teraz wyleźć wyobraźni dla zrozumienia nowych pojęć czasu i przestrzeni.

Parę liczb może pomóc wyobrazić: najbliższa gwiazda stała jest oddalona od Ziemi o 38 miliardów kilometrów. Droga Mleczna, która znajduje się jeszcze w naszej ziemskiej „parafii”, zawiera trzysta tysięcy milionów gwiazd, a przecież istnieją jeszcze miliony innych dróg mlecznych i światła na przebiegnięcie między tymi drogami mlecznymi potrzebuje dwóch milionów lat.

Russel zastanawia się nad skutkami, jakie może wywie-

rać takie wyobrażeniowe poszerzenie wszechświata na uczucia i wolę człowieka, który nagle wyda się sobie znikomym wobec ogromu kosmosu i może ulec pewnemu rodzajowi paraliżu psychicznego. Ale to wrażenie jest nieracjonalne i nie należy mu się poddawać. Siła umysłu ludzkiego przerasta wymiary człowieka jako istoty fizycznej. Umysł uczoności będzie dojrzał i rozrastał się w miarę zwiększania się odkrywanych przez umysł człowieka przestrzeni kosmicznych. Wola i uczucie powinny podążać za rozwojem umysłu. Na tym właśnie polega problem współczesny. Cała istota człowieka powinna rozwijać się harmonijnie z rozwojem jego umysłowości. „Jeżeli będzie inaczej — pisze Bertrand Russell — „Jeżeli świadomość osiągnie wymiary kosmiczne, zaś wola i uczucie pozostaną parafialne, nastąpi zakłócenie harmonii świadomości z wolą i uczuciami, pociągające za sobą rodzaj szaleństwa, które może okazać się katastrofalne w skutkach”.

Dotychczasowa aktywność osobników o złych instynktach była ograniczona samą ograniczonością techniki. Obecnie ograniczoność techniki teoretycznie, a w ogromnej ilości przykładów — praktycznie, nie istnieje.

„Jeżeli będziemy nadal realizować cele na wzór niedogodnych tyranów, skazemy ludzkość na zagładę”.

W jakiejś apokaliptycznej wizji Russell widzi polski lądujący na Księżycu i wzywający swych anglosaskich rodaków do opamiętania: „Póki nie zaprowadzimy porządku we własnym domu, zostawmy Księżyc w spokoju”.

Z całości rozważań wielkiego myśliciela wynika wyraźne sformułowane przezeń przestroga, że konieczność kooperacji międzynarodowej jest nieodzowna.

„Religia od dawna uczyła nas kochać bliźniego i życzyć mu dobrze. Niestety, ludzie przywiązali mało uwagi do tej recepty!” W świecie dzisiejszym przestrzeganie tej recepty, jako zasady moralnej stanie się nieuniknione przy czym Russell rozumie, że nie wskazania boskie, lecz wymogi nauki i nowego, odkrytego wszechświata zmuszą ludzkość do wyrzeczenia się niszczycielskich zamiarów.

Jeżeli ludzkość tego nie zrozumie, „każdy nowy wynalazek będzie przybliżał nas nieuchronnie do katastrofy”.

ARYSTARCH

Dokończenie ze str. 1

Mole herodowego sumienia

rodem i z Małgorzatą, nie wiem, czy różna od innych.

A już kiedy nas pyta, czy znana nam jest piosenka będąca uwieńczeniem dawnego libretta, piosenka o wilczyku, otwieramy szeroko oczy.

Szymanowski zapamiętał ją i cytuję w całości. Oto ona:

Oj patrzyła tam za górą wilczyku tańczu,
Ze młode i wesole a więc podryguje.

A czegoś tak podryguje ta leśna bestyja
Ze się nie ożeniła, to sobie wywija.

Wilczyko się ożeniło, usyska spuściło.
Au, au, au, au, cożem ja zrobiło.

Piosenkę tę znalazłem już uprzednio w bardziej lapidarnej wersji:

Leci pies bez owies, ogonem wywija,
Pewno nie żonaty, szczęśliwa bestyja.
Leci pies bez owies ogon ma spuszczoney,
.... bo wraca od żony..

Szymanowski z komicznym (umyślnie) patosem stwierdza, że w piosence tej streszcza się odwieczny dramat ludzkości i żaluje dawnego libretta. Dla nas jest prawdziwą rewelacją takie a nie inne brzmienie szopki warszawskiej. Czemż jej nikt w całości nie spisał?

Wreszcie i dawnego dziada Szymanowski chwali pisząc: „nawet ów dziadek, który występował przy końcu przedstawienia szopkowego, potrząsając pustą kaletą, wymownie odzywał się do serca matych słuchaczy, aniżeli dzisiejszy, który wygląda nam trochę na ubogiego, wstydzącego się zebrać”.

„Teraz dziadzie wychodzi stary, wychodzi stary.
Dobądź swojej miary
Na pieniądże i na zboże
I na wszystko, co być może,
Do gęby podnieś.
Ja pauper ubogi, nie mam nic takiego,
Tylko patymczkę z drzewka lipowego,
Paciorki korkowe, co u pasa noszę
A ja państwa dobrodziejstwa o koledę proszę.
Nie gadajcie, że się dziadek niepotrzebnie szwędą.
Dobra rzecz, koleda”.

Ta wzmianka o śpiewaniu „z grecka” jak i słowo pauper wydaje się wskazywać na to, że owa szopka, której sto lat temu Szymanowski wysłuchał, musiała jeszcze niektóre dawne cechy żakowskiej krotchwilii zachować. A te pozostałości pomnożone o cechy andrusowskie dały amalgamat osobliwy.

Nowa szopka warszawska, jaką Szymanowski opisuje, podobna jest do dywanu z różnych latek pozyskiwanego. Wół i osioł skryły się gdzieś w górze. Dekorację zmieniano pięciokrotnie. Był i port morski i okoliczność i jaskinia zbójców i karezm żydowski i wielka sala tronowa króla Heroda.

A najzabawniejsze i najtypowsze było w tej rewolucyjnej szopce to, że diabeł nie z dołu, ale z góry się zjawiał (prawdopodobnie były to więc wszystkie nie kukielki poruszane z dołu, ale lalki, marionetki na niciach) i porywał niegodziwego króla z nadszopkowe przestrzenie, a chór niewidzialny za sceną śpiewał:

Dziś dzień, Herodzie, dziś dzień bogacza,
dziś dzień wesela, ale nie płaczu,
Jak słońce świeci w złocistym kole,
Tak ciebie grząz sumienia mole.

Szymanowski idzie tu tropem najłatwiejszym, nasmiewa się, że przemiana Heroda w futro, i gryzienie go przez mole, jest wzniosłe i po szekspirowsku pomyślane.

Istotnie owe mole są bardziej szekspirowskie niż

to się Szymanowskiemu zdaje; co nas jednak bar-

dziej interesuje, to owo nazwanie Heroda bogaczem. Dr Adam Fiszer przypuszczał już dawno, że dla ludu Herod był nie tylko symbolem kato, że był symbolem również i bogacza. Na Słowaczynie znalazłem misteria jasełkowe o Łazarzu, który by potwierdzały, że lud patrzył na Heroda z podwójną nienawiścią: jako na okrutnika i jako na bogacza. Cieszone się z tego, że śmierć była od bogacza (nie od Heroda! albo przynajmniej nie tylko od Heroda!) mocniejsza. W oczach ludu śmierć, nie oszczędzająca zarówno bogacza jak i ubogiego jest demokratyczną instancją, która nierówność społeczną osłabem swoim ścina.

W szopce rozgrywa się nie tylko sprawa między Jezusem a Herodem, ale między publicznością a Herodem. Dla publiczności pewnego typu jest ten triumf śmierci nad Herodem triumfem nader upragnionym. Szopka, poza swoim sensem moralnym i narodowym, ukazuje nam swój aspekt społeczny, i z misterium, które ogół wyłącznie o hołd Chrystusowi pomawiał i za misterium miłości poczytywał, klaruje się tym, czym była i jest naprawdę, a mianowicie misterium nie tylko miłości, ale i nienawiści.

Nie mają zatem racji ani ci, którzy szukają w niej tylko rewili ciekawostek folklorystycznych czy narodowych, ani ci, którzy radzi by zrobić z niej wyłącznie nabożeństwo.

Szopka jest jednym i drugim, ale jest także uprtem niechęcią dla moźnych.

Dlatego więc owe mole, zgryzające na prosek sumienie Heroda, są w istocie swojej bardzo szekspirowskie. Lud molom gorąco przykaskiwał, mało mu było głowy Heroda, trzeba było świadomości, że sumienie bogacza nie popuści i na stałe utrafi. Zupełnie inaczej niż lud, na tę scenę reagowały warstwy posiadające. Z chwilą, gdy Herod staje w obliczu śmierci i diabła, publiczność tego typu skłonna jest mu nawet darować grzechy, bo też dla naszych ciulaczy, rentierów, posesjonatów wstrząsającą wymowę ma niedola Heroda, który ani berłem, ani koroną, ani złotem śmierci przekupić nie zdoła. Publiczność mieszczańska skłonna była identyfikować się w tej chwili z Herodem i żałować go. Staje się on dla nich „owym Kłobędziem” (Everymanem).

Dlatego to w oczach solidaryzujących się z Herodem widywaliśmy grozę, a w oczach ludu radość.

I dlatego to szopka, przez kulturalny zespół grywana dawała nam do oglądania swoisty dramat, czy mo że nawet tragedię Herodową, i ta sama szopka w interpretacji ludowej uraczy nas śmiercią Heroda na wesole. Diabeł w szopce ludowej porwuje Heroda „a la fourchette” będąc narządem sprawiedliwości zarówno Bożej, jak i społecznej.

Dziwna to rzecz, że my Słowianie, którzy podobno kochamy się w sielankach, w szopce zdobyliśmy się na tak okrutną, a tak równocześnie wesolą scenę z Herodem! Dusza ludu mniej sielankowa niżby się zdawało, bo praca ludzi prostych jest ciężka, a sielanki rodzą się tam, gdzie jest lekko. Sielanką jest obraz wsi i kmiotka, który pogania siwe wołki orząc, ale sielanką dla tego, który patrzy nie tego, który orze. Sielanką było dla mnie kopanie kartofli tak długo, dopóki sam nie stanąłem z motyką na polu.

Kocham szopkę, bo lud wypowiadał się w niej nie tylko przez sielski przytyłek przy łobku, ale przez machnięcie kosa i wbiecie widel w plecy Herodowe. Ziarno kultu i ziarno sprawiedliwości społecznej kwitną w szopce obok siebie i na tej samej grządce.

JAN SZTAUDYNGER

NIE MA ZGODY

w sprawie nowego filmu Andrzeja Wajdy

Opowieść o „czarowaniu”

Prawie zawsze, gdy pisze się i mówi o współczesnej młodzieży — padają epitety: cyniczna, obojętna, wyjąłkowa z wszelkich uczuć. Rzadko jednak autorzy tych sądów próbują je umotywo-

Zasługą Andrzeja Wajdy, Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Skolimowskiego jest przede wszystkim to, że nie poddali się modzie historycznych ataków na młodzież, a potępiając pewną postawę swoich bohaterów — wystrzegali się natrętnego dydaktyzmu i rezonerstwa, potrafili przy tym wskazać źródło obojętności i cynizmu głównych postaci swej opowieści.

Bywalcy „Piwnic”, „Hybryd” i „Stodół” stworzyli „okół siebie pewien mit. Oczywiście — nie zrodził się ten mit bez kozery, istnieje rzeczywiste grupa młodych ludzi, których poglądy i zachowanie zasługują na wytoczenie epitetów najgrubszego kalibru. Ale w wymiarze powszechnym — owa postawa staje się tylko pozą, chętnie asymilowaną przez ludzi całkiem porządnymi, nie wyzbytymi autentycznych uczuć. Trochę jest w tym najwykleszczonej przekory: bądźmy takimi, jak chcą nas widzieć inni, a zwłaszcza

nieprzyjaźni wobec nas „dorosli”.

Film Wajdy jest właśnie opowieścią o pozerstwie, o tak zwanym „czarowaniu”, które w pewnej chwili staje się otoczką ni wygodną, uciążliwą — przeszkadzającą ujawnianiu się prawdziwych, cennych uczuć.

Oto dwoje młodych ludzi, trafiają przypadkiem na siebie, jak przysłowiowa „kośka na kamień”. Spod warszawskiego „Manekina” na Starym Mieście idą do zacisznego pokójku — tu zaczyna się „nocne Polaków rozejawy” — o wszystkim, o niczym” o sensie i bezsensie życia, o miłości i o spaniu ze sobą... Tu wreszcie spada z nich „otoczka”, odsłania się pozerstwo, para bohaterów kompromituje stworzony przez siebie mit.

Niektórzy — nazbyt już pryncypialni recenzenci filmu Wajdy — zadają pytanie, czy odrzucenie owej nozzy stanowi wystarczająco pozytywny program, czy automatycznie nastąpi ujawnienie „najsłabszych wartości”? Cóż na to powiedzieć — gdyby tak miało być w istocie, cały film nie byłby w ogóle potrzebny. Trudno zresztą wymagać od bohaterów z określonego środowiska, by stali się kla-

sycznym wzorcem moralnym... Wajda nakreślił sobie dydaktyczny „program minimum”, na pewno słuszny, i konsekwentnie go zrealizował.

W pełni zwycięsko pokonał również trudne problemy warsztatowe; rozegranie prawie całej akcji między dwójgim młodych ludzi, w czysto kameralnej sytuacji na pewno „nie ułatwia życia” reżyserowi, jeśli nie chce on pomagać sobie formalnymi, wymyślnymi sztuczkami. Trzeba więc tym bardziej zapisać na dobro Wajdy, że w „Niewinnych czarodziejach” wyżył się niemal zupełnie wszelkimi ułudami, którymi tak gęsto utkane były jego poprzednie filmy. Powstało dzieło zwarte, proste, o przejrzystej konstrukcji dramatycznej, wyzbyte irytujących smacz-

ków i efekcików. Może tylko w jednym punkcie dojrzały warsztat reżysera zawodzi — w scenie finałowej, niezbyt jasnej, scenariuszowo niekonsekwentnej.

Pomogli reżyserowi aktorzy — Stypulkowska i Lomnicki. Nie tylko potrafili obronić przed śmiesznością ryzykowne teksty dialogów, ustawicznie ocierających się o grafomanie — ale co więcej, wyrażając i przekonująco przedstawili złożony rysunek psychologiczny bary bohaterów, konglomerat pozy i szczerości.

Walory formalne „Niewinnych czarodziejów” uzupełnia praca operatora — Krzysztofa Winiewicza, który ogra-

ne pejzaże starej Warszawy ukazał zupełnie „na nowo”.

ALEKSANDER
NIEŚMIAŁEK

Odkrywanie pozorów czy odkrycia pozorne?

Film Wajdy wzbudzi na pewno wiele dyskusji — zarówno ze względu na swe czyste formalne walory, jak i zawartość treściową; przychylnie do nierozwiązanego problemu współczesnej młodzieży. Nie wydaje się jednak, aby Wajda zdołał obie rzeczy pogodzić, dobre rzeczy pokrywa wątłutki ładunek intelektualny i problemowy.

Tak pokazane środowisko młodzieży, jego zainteresowania i rozrywki — to wszystko znamy już na pamięć z publikacji socjologów i pisarzy; jeśli jest w „Niewinnych czarodziejach” coś nowego, to najwyżej optymistyczny akcent końcowy, obcy w dotychczasowych rozważaniach. Akcent ten zabrzmiał jednak nieprzekonywająco. Jako kontynuacja centralnych, li-



rycznych scen filmu — mógł się stać prawdziwym zakończeniem opowiedzianej przez Wajdę historii. Zabrakło jednak prawdy o „czarodziejach”. A ponieważ bohater nie zdążył pozyskać naszej sympatii i zaufania, jakim zdaje się go obdarzać reżyser — końcówce sceny, optymistycznym finału — wydają się być tylko sztucznym doklejeniem. Albo też — dolezione grubo za wcześnie...

Wajda podzielił swą opowieść na dwie wyraźne części: pierwsza ukazuje ogólny szkic środowiska głównych postaci; część druga stanowi kameralne „sam na sam” bohaterów. W części pierwszej — te grupy młodych ludzi, walczące się bez celu po pustych ulicach śpiącego miasta, to motyw widziany już u nas kilkakrotnie, w różnych europejskich wersjach. Poza to tu właściwie tylko treściowe i stylistyczne echa „Walkonii” Felliniego i „Główniej ulicy” Bardema. Czy rzeczywiście nie można było wymyślić nowego, mniej wytartego symbolu nudy, pustki i bezmyślności?

Jeśli nawet początek „Niewinnych czarodziejów” potrą-

tujemy tylko jako preludium do drugiej, zasadniczej części opowiadania, — to owo preludium okazuje się i tak zbyt długie — i zbyt konwencjonalne...

Co się zaś tyczy drugiej części — gdyby Krystynie Stypulkowskiej (nb. ostatnio najbardziej udany debiut aktorski) i Tadeuszowi Lomnickiemu — pozwolili Wajda dłużej pozostać tylko ze sobą, gdyby do końca „dograł” kapitalne dialogi, „słówka” i sytuacje — może wówczas film nabrałby zupełnie innego charakteru. Na tle uporczywych tendencji do „problemowości” i natrętnego dydaktyzmu stałby się dziełem prawdziwie nowym i ciekawym.

Tymczasem zaś — chciano złapać dwie sroki za ogon, wartościowe pozycje „kameralnej” części scenariusza nie wypadły w końcowej poince, przecięły między palcami — a wałki „problem” współczesnej młodzieży pozostał tylko jałowym wyliczeniem banalnych faktów.

EWA NURCZYŃSKA

ULUBIONE GWIAZDY SKŁADAJĄ ŻYCZENIA NOWOROCZNE CZYTELNIKOM „Mieszanki”



EMANUELE RIVA



GINA LOLLOBRIGIDA



ROSANNA SCHIAFFINO



ANETTE VADIM

„SZKLANA GÓRA”

Jest w tym filmie odrobina dobrze podpatrzonych, małomiasteczkowych realiów, typów, sytuacji; jest pozytywny bohater — młody wynalazca, realizujący szybko (nawet przy pomocy specjalnego wysłannika ministerialnego) swój projekt; jest miłośna fabułka z dość nieoczekiwanym zakończeniem, pozbawionym jednak jakiegokolwiek istotniejszego podtekstu.

Właśnie. W książce Patkowskiego — „Południe” — na podstawie której nakrę-

cił „Szklaną górę” młody reżyser Paweł Komorowski — łatwo dostrzec niezbyt może odkrywcze, ale ambitne próby stworzenia jakiejś intelektualnej konstrukcji, głębszych nastrojów psychologicznych. Do filmu jednak prawie nie z tych usiłowań nie dotarło. „Szklana góra” okazuje się historyjką jednowymiarową, niebezpiecznie zbliżoną do skompromitowanego produktu jniaka. Przeważają obserwacje stereotypowe, postacie szesz-

czą papierem, w naiwnie i refleksyjnych scenach podkreśla się surową krzepę robotników...

Jedno, co ratuje płaską i niewyszukaną historyjkę — to żywa, niekiedy dowcipna narracja. Ta zaleta sprawia, że film może liczyć na więcej niż przeciętną frekwencję. A przez to — najogólniej rzecz biorąc, spełnia postulat warszawskiej krytyki, nawołującej do produkcji zaangażowanej.

ŻAK.



„WTajemniczeni” — a jest ich już grupa — którzy widzieli „Matkę Joannę od Aniołów”, najnowszy film Jerzego Kawalerowicza — przypowiadają temu filmowi wielkie sukcesy. Mówi się przede wszystkim o znakomitych kreacjach aktorskich Lucyny Winnickiej (rola tytułowa), Anny Ciepielewskiej, oraz łódzkiego aktora Mieczysława Voita, który gra

tu aż dwie role — księdza Suryna i rabina... Rewelacją mają być również zdjęcia Jerzego Wójcika. Film Kawalerowicza będzie prawdopodobnie reprezentował polską kinematografię na Festiwalu w Cannes, wiosną b. r. WOJCIECH HAS — który niedawno ukończył kameralne, psychologiczne „Rozstania” — w następnym swoim filmie zamierza poruszyć całkiem odmienną tematykę. Bohdan Czeszko przygotowuje dla Hasa scenariusz, w którym akcja rozgrywać się będzie na wielkiej budowie „Turoszowa”.

W FILMIE „KWIECIEŃ” (t.j. Witold Lesiewicz) zagrą ostatecznie w głównej roli prokuratora — Piotr Pawłowski z Teatru Starego w Krakowie — a nie jak podano niedawno w rubryce

„Kupić nie kupię” — Gustaw Holoubek. Ponadto w „Kwiecień” wystąpią Maria Ciesielska i Henryk Bąk. Realizacja rozpocznie się od zdjęć atelierowych w nowej wytwórni w Warszawie. W końcu marca ekipa wyjedzie do Spaly, tam nakręcone zostaną pozostałe sceny, m. in. forsowanie Nysy, która w tym wypadku zastąpi... Pilica.

„WIELKA MNIEJSZA I NAJMNIEJSZA” — uroczą i popularną książką Jerzego Broszkiewicza — doczeka się prawdopodobnie wersji filmowej, w tej chwili trwają prace nad scenariuszem. Realizację planuje się w zespole „Start” — jedynym z zespołów, który systematycznie umieszcza w swoim programie filmy dla młodzieży widowni.

DONALD